

GŁOS KARCZEWA

PISMO MIASTA I GMINY KARCZEW

MIESIĘCZNIK
NR 3/4 (47/48)
Marzec/Kwiecień
1995 r.



ISSN 1233-2917

Nadwiślańskie wierzby pokryły się baziarni. To znak, że wiosna i Święta przed nami, Wielkanoc. Drodzy Czytelnicy, przyjmijcie z tej okazji najlepsze życzenia od Rady, Zarządu i Redakcji.

Fot. Zbigniew Skoczek

Informacje z Sejmiku

Podczas ostatnich dwóch sesji Sejmiku Samorządowego Województwa Warszawskiego dominowały następujące sprawy. Sejmik podjął uchwały:

- o potrzebie rozszerzenia kompetencji sejmików przez nadanie im osobowości prawnej i wystąpił w tej sprawie do Sejmu i Senatu RP;
- o nowelizacji ustawy o systemie oświaty i wystąpił do Sejmowej Komisji Edukacji i Postępu Technicznego o wprowadzenie zmian i odpowiednich zapisów;
- w sprawie poparcia protestu głodowego przedstawicieli oświaty i służby zdrowia;
- w sprawie dodatków mieszkaniowych dla lokatorów lokali komunalnych — jako zadanie własne Gminy, a pozostałych dodatków — jako zadanie zlecone finansowane z budżetu państwa;
- w sprawie niektórych postanowień ustawy o NIK. Chodzi o zgłoszenie weta przez Prezydenta PR do tej ustawy, która uprawnia NIK do dodatkowego kontrolowania działalności samorządu terytorialnego;
- w sprawie delegowania p. W. Frączka do rady nadzorczej Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska oraz wyznaczenia jako ekspertów tego funduszu p. D. Lewandowskiego i p. J. Wojdańskiego z organizacji pozarządowych.

Na ostatniej sesji dokonano też wyboru przewodniczącego Samorządowego Kolegium Odwoławczego. Został nim p. Leszek Kamiński.

Na koniec tej krótkiej relacji pragnę przedstawić odpowiedź wojewody na moją interpelację w sprawie poszerzenia Wału Miedzeszyńskiego i ul. Nadwiślańskiej. Ten ciąg komunikacyjny łączący Karczew i okolice miasta z Warszawą, stanowiący również ważną trasę tranzytową z południa na północ, jest już tak ciasny, że jazda nim stanowi zagrożenie dla wszystkich użytkowników. Niemal nie ma dnia, aby nie doszło tu do kolizji. Niestety według pana wojewody do końca XX w. nic się na tej drodze już nie zmieni. Otworzono granice, wpuszczono do Polski miliony samochodów, a nie pomyślano, że zatkają one arterie transportowe. Od lat nie ma nowej ustawy o drogach, od lat nie inwestuje się w drogi. Nie ma szans aby wyrażenie polska droga nabrało innego niż pejoratywnego wydźwięku.

Henryk Niedziółka, delegat Rady
do Sejmiku Samorządowego

Warszawa, dnia 1995.02.22

WOJEWODA WARSZAWSKI

Km.V/056/05/1655/94

Pan Henryk Niedziółka
Delegat do Sejmiku Samorządowego
Województwa Warszawskiego
ul. Mickiewicza 3
05-480 Karczew

W odpowiedzi na interpelację zgłoszoną na IV Sesji Sejmiku samorządowego Województwa Warszawskiego informuję, że podzielać Pana stanowisko co do oceny warunków ruchu i potrzeby przebudowy Wału Miedzeszyńskiego, czego wyrazem są podjęte prace modernizacyjne w najtrudniejszym punkcie tej trasy.

W wykonanym w styczniu 1995 r. opracowaniu pt. „Program działań inwestycyjnych i modernizacyjnych... — w latach 1995-1999...” budowa drugiej jezdni Wału Miedzeszyńskiego znalazła się na 5 pozycji wśród działań modernizacyjnych.

Jednak skromne środki finansowe, przyznane z budżetu państwa na budowę, modernizację i utrzymanie dróg w Warszawie i województwie, niewystarczające na kontynuowanie rozpoczętych inwestycji, nie pozwalają

na umieszczenie przebudowy Wału Miedzeszyńskiego (poza drobnymi punktowymi modernizacjami) w planach przed 2000 r.

Jednocześnie przepraszam za zwłokę w udzieleniu odpowiedzi, spowodowaną uzyskiwaniem wyczerpujących informacji od zarządcy drogi w okresie finalizowania opracowań dotyczących planów inwestycyjnych i modernizacyjnych na najbliższy okres.

Łączę wyrazy szacunku

WOJEWODA WARSZAWSKI
mgr inż. Zdzisław Tokarski
Wicewojewoda Warszawski

Grabież Parku Mazowieckiego?

Ten list powinien zainteresować i zmusić do częstszych kontroli leśników oraz strażników Mazowieckiego Parku Krajobrazowego. Czytelnik, który prosi o zachowanie anonimowości pisze nam, że: „W Parku prowadzona jest rabunkowa gospodarka drewna. Piłami motorowymi wycina się najwspanialsze okazy drzew. Parę razy w tygodniu po kilka wozów ciągnikowych i konnych wywozi kradzione drewno dziesiątkami metrów sześciennych. Sprawcy to mieszkańcy Karczewa i okolicznych wsi. Oprócz tego rabuje się i wywozi ziemię torfową z rezerwatu Torfy, a w dziury w ziemi wysypuje się całe tony śmieci, odpadów. Serce mnie boli, kiedy na to patrzę, ale co ja sam mogę zrobić? Dzwoniłem na policję u nas i w Otwocku, ale nie ma żadnej reakcji. Dowiedziałem się, że u niektórych złodziei na podwórkach leży po kilkadziesiąt metrów sześciennych ziemi, którą handlują legalnie. Czy policja nie może zlustrować takich podwórek i sprawdzić czy właściciel ma jakiś papier skąd tą ziemię posiada?”

No właśnie. Pytanie to kierujemy do pana komendanta Malesy. Może z okazji wiosennych kontroli zainteresuje się również tym, co leży na podwórkach i skąd to pochodzi? Czekamy na reakcję. Co na to dyrekcja Parku? (s)

KAZIMIERZ ROMANIUK BISKUP WARSZAWSKO-PRASKI

Do

Wszystkich Przedstawicieli Władz Samorządowych
na terenie Diecezji Warszawsko-Praskiej

W Środę Popielcową dnia 1 marca rozpoczął się XXVII Ogólnopolski Tydzień Modlitw o Trzeźwość Narodu. Zwracam się do wszystkich władz Samorządowych nie tylko z gorącym apelem o wzięcie udziału w tej dorocznej krucjacie modlitwowej, lecz także z serdeczną prośbą o konkretne działanie, mające na celu skuteczniejsze zwalczanie plagi alkoholizmu. Chodzi przede wszystkim o to, żeby Samorządy lokalne nie wydawały tak łatwo — a wiemy, że leży to wyłącznie w ich mocy — zezwoleń na sprzedaż alkoholu. Niech tegoroczny Wielki Post a zwłaszcza trwający Tydzień Modlitw o Trzeźwość Narodu posłużą Wam za okazję do zastanowienia się nad zgubnymi — także dla waszych sumień — skutkami decyzji, które podejmujecie.

Na Waszą wielkopostną — ożyż jak najskuteczniejszą zadumę — z całego serca wszystkim błogosławie.

+ Kazimierz Romaniuk
Biskup Warszawsko-Praski
Warszawa, dnia 27 lutego 1995 r.

KALEJDOSKOP

Zwirowni nie będzie

30.01.1995 r. Okręgowa Dyrekcja Gospodarki Wodnej w Warszawie wystąpiła z pismem dotyczącym poboru kruszywa z doliny Wisły na wysokości od drogi dojazdowej do Wisły (przedłużenie ul. Wiślanej do granicy Karczew i Otwock). Kruszywo byłoby wydobywane przez PE i SHKB Witold Puszyński. Pismo zaopatrzone jest w wiele obwarowań prawnych, które są wymagane przy tego typu przedsięwzięciach oraz podparte Opinią Katedry Budownictwa Wodnego SGGW w W-wie. Mając na uwadze treść Opinii dotyczącą inżyniersko-ekologicznych kwestii i mówiącą o tym, że obszar za wałem, „od Otwocka Wielkiego do południowych granic Warszawy, mimo długotrwałej i często destrukcyjnej gospodarki, a także użytkowania rolniczego, nadal przedstawia pewną wartość przyrodniczą i krajobrazową na tle wylesionych, ubogich w wodę i zurbanizowanych miast i miasteczek — satelitów Warszawy” oraz i to, że teren ten w połączeniu z Mazowieckim Parkiem Krajobrazowym od Zawichostu do Płocka stanowi unikalny w skali Europy przykład mało zmienionego krajobrazu dużej rzeki, Członkowie Zarządu nie wyrazili aprobaty na tego typu przedsięwzięcie.

Nawóz z komina

Jest nadzieja na to, że w kwietniu tego roku ruszy wreszcie instalacja odsiarczająca, na której uruchomienie czekamy od wielu miesięcy. Przesuwanie kolejnych terminów było spowodowane częściowym brakiem pieniędzy jak również wprowadzeniem przez autorów projektu nowatorskich zmian w automatyce obsługującej cały proces powstawania siarczanu magnezu (jest to nawóz) ze związków siarki zawartych w spalinach.

Jak twierdzi pan Z. Urbanek z Politechniki Warszawskiej (autor projektu) — inwestycja wykonana jest bardzo oszczędnie i starannie dzięki zaangażowaniu dyrekcji i pracowników ZEC Karczew. Podany termin zakończenia i obciążenia próbnego instalacji określa jako bardzo korzystny z uwagi na minimalne niekorzystne skutki związane z ewentualnymi trudnościami dotyczącymi regulacji aparatury sterującej.

Woda wyżej

20.02.1995 r. w Woj. Zarządzie Melioracji i Urzędzeń Wodnych zapadła decyzja o realizacji dwóch jazów mechanicznych na rzece Jagodziance zlokalizowanych w Janowie i Łukówcu.

Należy dodać, że pomysłodawcą tego przedsięwzięcia był radny kadencji 1990 - 1994 ś.p. pan Andrzej Popis. Na realizację tego projektu przeznaczono ok. 35 tys. w ramach programu małej retencji.

Nowe inwestycje

W czasie trwania zarządu w dn. 16.02.1995 r. zostały podpisane następujące umowy inwestycyjne:

— zadanie Glinki VIII — wodociąg w Piotrowicach — koszt 196,7 tys zł,

— budowa kolektora sanitarnego w ul. Ks. Kard. Wyszyńskiego, Świderskiej i Westerplatte o dł. 1125 m na kwotę 460 tys. zł.

— modernizacja stacji wodociągowej w Glinkach - 22 tys. zł.

Puchar dla rajdowców

11.02.1995 r. odbył się po raz trzydziesty już jednodniowy rajd Monte Kalwaria. Impreza rozpoczęła się w Warszawie aby tradycyjnie zakończyć się w Górze Kalwarii. W naszym mieście był jeden Punkt Kontroli Czasu i Odcinek Specjalny. Zlokalizowano je w pobliżu Superdrobu i ZEC Karczew. W tegoroczne szranki stanęło aż 150 załóg. Zgłoszeń było dwa razy więcej. Niezamierzonych przez organizatorów trudności przyspyły sama aura częstując zawodników i ich maszyny deszczem i śniegiem. Dla upamiętnienia oraz promocji naszego miasta i gminy Pan Burmistrz ufundował okazały kryształowy puchar, który dostał się zwycięskiej załodze na OS w Karczewie. Trofeum to zostało wręczone na uroczystości ogłoszenia wszystkich zwycięzców w siedzibie organizatora rajdu na ul. Pańskiej w Warszawie.

W czasie rozmów kulturalnych dowiedzieliśmy się, że w następnym roku komandor rajdu zamierza w Karczewie i Gminie Karczew zorganizować więcej PKC i OS. Z gościnności naszej Gminy zamierzają skorzystać również organizatorzy wyścigu starych samochodów.

JACEK SAWCZUK

**Komendant zapowiada kontrole**

Jak nas poinformował komendant miejskiej policji Kazimierz Malesa — w kwietniu całe miasto objęte zostanie kontrolą. Policja będzie sprawdzała przede wszystkim ład i porządek w obejściach i wokół nich. Na brudasów i bałaganiarzy nakładane będą wysokie kary. Żeby ich uniknąć lepiej wcześniej posprzątać. Kiedyś w każdą sobotę gospodarze domów zmiatali chodniki i jezdnie, wiosną malowali krawężniki. Było czysto i przyjemnie. Czuło się też w powietrzu wiosenne porządki. Teraz wszyscy oglądają się na służby porządkowe, brudny piach zalega wszędzie. Najlepszym przykładem jest jezdnia i chodnik w Otwocku Małym. Natura zwycięża człowieka. Miejscami chodnik zupełnie zarósł zielskiem. d)

Fot. Z.D. Skoczek

Od redaktora

Wiosna, kochani! Świat budzi się do życia.

Nam też udało się obudzić, a

raczej pobudzić do działania młodzież, która wreszcie przekonała się do „Głosu” i zgodziła się współpracować. Znajdziecie więc na tych łamach „Głos Młodych”. Mam nadzieję, że nie będzie to rubryka okazjonalna, ale stała. Zapraszamy do pisania dzieci ze wszystkich karczewskich szkół: Sobiekurska, Gliniek, Otwocka Wielkiego... ze Szkoły Podstawowej nr 1.

O „dwójce” nie wspominam, bo akurat z tą szkołą współpraca układa się od początku wzorcowo. Potrzebujemy też sprawozdawcy sportowego. Panowie, kibice „Mazura” i sympatycy — zgłoście się.

I kolejny raz apel do Czytelników: piszcie do nas, dzielcie się radościami i smutkami, gańcie nas lub chwalcie, zgłaszajcie tematy, o których — Waszym zdaniem — należy napisać. Tylko wspólnie możemy robić „Głos” taki jakiego oczekujecie.

Wśród ostatnich listów sporo było pytań o to, dlaczego tak mało jest w naszym miesięczniku stron kolorowych. Odpowiedź jest prosta — to kosztuje. Pismo jest utrzymywane z budżetu, jego wydawanie obciąża ten budżet w coraz większym stopniu, ponieważ szalenie drożeje papier, przygotowania i sam druk. Z reklam, jak sami wiecie, nie utrzymamy się; w takim miasteczku wszyscy wiedzą wszystko: który sklep jest dobry, a który zły, gdzie kupić to, a gdzie tamto. Słowem — coraz częściej zastanawiamy się czy nie wprowadzić chociażby drobnej opłaty za gazetę, żeby trochę ulżyć budżetowi. Oczywiście zadecyduje o tym Rada. Ale zanim sprawa „stanie” na sesji, proszę Was o opinie. Czy nadal „Głos” rozdawać, czy sprzedawać za — powiedzmy — 50 gr.

Zbigniew D. Skoczek

Wydawca: Zarząd Miasta i Gminy Karczew. Adres redakcji: Karczew, ul. Warszawska 28, tel. 779-63-30

Redaguje zespół: Mirosław Dąbrowski, Krzysztof Kasprzak, Henryk Niedziółka, Jacek Sawczuk (z-ca red. nac.), Zbigniew D. Skoczek (red. nac.), Roman Skwara, Teresa Trzaskowska (sekretariat)

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.

Druk: „S-Druk” Karczew, ul. Armii Krajowej 24b, tel. 779-61-85, SKŁAD: „LAPEK” tel. 783-51-57

Wokół Wielkiej Nocy

Pisze Józef Szczypka w „Kalendarzu Polskim”: „Wielki Tydzień, a wreszcie same święta, Wielkanoc i Poniedziałek, to czas szczególnie bogatej obyczajowości. Jest to przy tym obyczajowość najwyraźniej inspirowana przez religię katolicką i bardziej niż kiedy indziej związana z obrzędami kościelnymi, choć sporo w niej również dodatków ludowych, sporo elementów nie tłumaczących się zupełnie ewangeliami czy liturgią”.

Jeszcze w XIX wieku obchodzono wielkośrodkowe „judaszki”, obyczaj krotchowilny i podrostkowaty, w którym młódź przodowała”. Robiono kukłę ze słomy, która symbolizowała Judasza, oblekano ją w stary kaftan, a do jego kieszeni wkładano trzydzieści potłuczonych szkieł — niby 30 srebrników. Kukłę wleczono na wieżę kościoła i zrzucono, a potem wleczono po ulicach na postronku i obijano kijami wrzeszcząc — Judasz, Judasz...

Zbigniew Kuchowicz w „Dziejach obyczajów polskich” dodaje, że nie daj Boże, aby podczas takiej zabawy „Żyd jakowy niewiadomy tej ceremonii nawinął się im — porzuciwszy zmyślonego Judasza — prawdziwego Judę tak długo i szczerze kijami obkładali, póki się do jakiego domu nie salwował”.

Ponieważ od Wielkiego Czwartku do Wielkiej Soboty kościół nie używał dzwonów, lecz posługiwał się wyłącznie drewnianymi kołatkami „wiejskie i miejskie urwisy rozpoczynali wówczas bieżanie po ulicach z grzechotkami czyniącymi niemiłosierny hałas” I też nazywano to „przepędzaniem Judasza”.

W Wielki Piątek post był ścisły. „W dniu tym rodzice dzieciom, czasem również mistrzowie czeladzi, zadawali i uderzenia różgą na pamiątkę męki Jezusa, mówiąc: „Któryś za nas cierpiał rany, Jezus Chryste, zmiłuj się nad nami”. W tym czasie również odwiedzano groby Chrystusowe.

Natomiast Wielka Sobota była dniem przygotowań do wielkiej świątecznej uczty. To wtedy tradycyjnie gotowano i pieczono. Oczywiście wyroby te przed spożyciem należało poświęcić. Święcone nie było takie symboliczne jak teraz, w małym koszyczku. „Ksiądz święcił nie tylko w kościele, ale także we dworze, dokąd schodziła się cała wieś z ogromnymi koszami. Na wielkich stołach ustawiano całe kołaczki, pęta kielbas, ogromniaste szynki i chrzan. Kopami barwiły się pisanki, kraszanek i oklejanki. Na środku stał wielki Baranek z cukru lub masła, który na bogatych dworach lśnił prawdziwie brylantowymi oczami i zadziwiał swoim rozmiarem”.

Największe zapisane w historii święcone jest dziełem wojewody Sapięhy i miało miejsce w czasach króla Władysława IV, w Dereczynie, na które zjechali najwięksi panowie z Litwy i Korony. „Na samym środku był baranek wyobrażający Agnus Dei z chorągiewką, całutki z pistacjami; ten specjał dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stało 4 przeogromnych dzików, to jest tyle, ile części

kie. Dalej 365 gąsiorków z winem węgierskim, alias tyle gąsiorków, ile dni w roku. To dla panów. A dla czeladzi dworskiej 8760 kwart miodu robionego w Berezie, to jest tyle, ile godzin w roku.”.

Takie święcone wymagało niemałej fortuny. Ale nawet w biednych domach w czasie świąt pojawiały się różne przysmaki. Obowiązujący obyczaj, pisze ksiądz Kitowicz



roku. Każdy dzik miał w sobie wieprzowinę (czyli nadzienie, przyp.zds), alias: szynki, kielbasy, prosięta. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w pieczeniu tych odyńców. Stało tandem 12 jeleni także całkowicie pieczonych z złocistymi rogami, całe do admirowania: nadziane było rozmałą zwierzną, alias: zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, to jest 52, całe cudne placki, mazury, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakaliją. Za nimi było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każde było adorowane inskrypcjami, floresami, aż nie jeden tylko czytał, a nie jadł. Coś za bibendy (czyli napojów alkoholowych - przyp. zds): było 4 puchary (exemplum 4 pór roku), napelnione winem jeszcze od króla Stefana. Tandem 12 konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie; te konewki exemplum 12 miesięcy. Tandem 52 baryłek także srebrnych in gratiam 52 tygodni; było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włos-

w „Opisie obyczajów...” nakazywał, by święta traktować jako pasmo obżarstwa i opilstwa. Kto się nie objadł i nie upił, nie rozbił głowy w jakieś awanturze — ten nie zaznał święta. Niestety akurat ten zwyczaj w wielu domach dotrwał do naszych czasów.

Wielkanoc zaczyna się wraz z wybiciem północy z soboty na niedzielę i wówczas rozlegały się dzwony rezurekcyjne. Dopiero podczas panowania Stanisława Augusta, chcąc oszczędzić ludziom nocnych powrotów do domu w ciemności, uroczystości Zmartwychwstania przeniesiono na niedzielny świt. Od zawsze dzwonom rezurekcyjnym towarzyszyły wystrzały. Kiedyś strzelano z armat, moździerzy, strzelb i pistoletów. Obok kościołów palono smołę w beczkach. Mieszczanie Warszawy, która była stolicą Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, mieli w zwyczaju w Wielkanoc podarować siedem wielkich kołaczy dostojnikom: kanclerzowi, marszałkowi, podskarbiemu koronnemu, biskupom poz-

nanskiemu i inflanckiemu, referendarzowi koronnemu oraz pisarzowi dekretowemu koronnemu. Później kołacz dostawał także biskup warszawski.

Po Wielkiej Nocy następował Poniedziałek, a z nim śmigus-dyngus. Ten obyczaj ostatnimi laty również odżył i czasem przybiera rozmiary monstrialne. Woda leje się jak z hydrantu. Nie bez kozery więc będzie przypomnieć, że śmigus i dyngus „w jednym stały domku”, ale były to dwa różne obyczaje. „I tak śmigus polegał na polewaniu wodą — pisze Józef Szczypka — oraz na lekkim uderzaniu panien różgą z palmy wielkanocnej po nogach, dyngus zaś to raczej wręczanie podarków stanowiących wielkanocny okup. Praktycznie kto dawał dyngus — ten nie był oblewany. Potem wszystko się mieszało i doszło do tego, że za śmigus brano dyngusa w różnej postaci, nawet zapłaty pieniężnej. Teraz pozostał sam śmigus, totalne polewanie. Książd Kitowicz przedstawia te śmigusowe opryski jako kataklizm, który zdawał się zmieniać bieg świata. Na lany poniedziałek ludzie domy uprzętały z co cenniejszych rzeczy, wynosili meble, przebierali się w stare ciuchy, bo bali się, że gromada zabawowych przyjaciół, która wpadnie — a wypraszać nie było w modzie, bo „gość w dom, Bóg w dom” — wszystko zniszczy w strugach potopu”. Największa była rozkosz przydybać jakąś damę w łóżku, to już ta nieboga musiała pływać w wodzie między poduszkami jak między bałwanami”. W poniedziałek polewano tylko kobiety. We wtorek panie miały prawo lać wodą mężczyzn, z czego chojnie korzystały. Polewano się tak na przemian aż do Zielonych Świątek. W Krakowskim wędrowały po domach wesole kompanie przebierańców śpiewając:

*Miły gospodarzu, puśćcie nas do izby,
Bo nas tu niewiele, ale zrobimy ciźby.
Stoimy pod drzwiami, jest Pan Jezus z nami.*

*Do izby nas puśćcie, bo my po śmiguście.
A dajcie co macie dać, bo nam tutaj zimno stać.*

*Krótkie mamy kozuszki, to nam pomarzną
brzuszek.*

Z tego polewania wodą, podtapiania w stawach itp. było wiele chorób: od zwykłych przeziębień, do zapaleń płuc, a nawet galopującej gruźlicy. Dobrze, gdy Wielkanoc wypadła w kwietniu kiedy już słonko przygrzewało. Gorzej gdy Śmigus odbywał się w marcu, kiedy jeszcze śniegi pokrywały ziemię, a lód rzeki i stawy. Przymusowa kąpiel w rzekach kończyła się na ogół tragicznie. Najdrastyczniejsze formy przybierał śmigus-dyngus na wsi. W miastach częściej polewano się symbolicznie pachnidłami. Od kilku lat w miastach jest chyba gorzej niż na wsi, a rozwydrzona młodzież uspokaja się niekiedy dopiero pod ciosami policyjnych pałek.

Zbigniew D. Skoczek

Nowe czy stare

Coraz częściej „prawo” nie oznacza „prawa”, ale są to podobno koszty demokracji i do tego ponoć musimy się przyzwyczaić.

Właściwie to nic się nie zmieniło. „Solidarność” pokrzyżowała, postrajkowała, przewróciła na politycznej szachownicy kilka niby ważnych figur, a następnie podzielona na partie, partyjki i kanapowe towarzystwa wzajemnej adoracji zaczęła toczyć rodzinny spór o to, co właściwie dalej z tą naszą Polską zrobić. Praktycznie to nikt nie miał i nadal nie ma do końca określonej koncepcji na nowy porządek polityczny w naszym kraju, a ponieważ takiej koncepcji nie ma, dlatego nadal jest stare, gdyż „nowe” nie może pogodzić się z tym, że lata mijają, a wraz z latami przemija uroda. Rachunek wprowadzie został podkreślony grubą kreską, ale nikomu nie chciało się widocznie dodawać, i tak mijają lata, miało być dobrze, a jest „, po staremu.

Wprowadzie to co się dzieje na górze woła o pomstę do nieba, ale i na dołach nie jest najlepiej. Tu dopiero, na nizinach życia społecznego, gąszcz prawniczo-bezprawnych interpretacji daje o sobie znać. Przeciętny zjadacz chleba, aby nie dać się wyrolować, powinien biegło orientować się we wszelkich kodeksach prawnych wraz z niezbędnymi komentarzami, znać na pamięć, jeszcze przed opublikowaniem, wszelkie ustawy, rozporządzenia i nowelizacje i dopiero wyposażony w taką wiedzę może wyjść z domu, lub komukolwiek otworzyć drzwi. Za drzwiami bowiem nigdy nie wiadomo kto czeka i czego od nas chce. Jednego możemy być pewni — za drzwiami nie zastaniemy Czerwonego Kapturka, który idąc z łakociami do babci wstąpił do nas by zapytać o drogę, ani nie zastaniemy siedmiu krasnoludków, którzy przyszli po Królową Śnieżkę, a jeżeli już przyszli, to z pewnością nie po Królową Śnieżkę, ale po nasz telewizor, magnetowid i inne drobiazgi. Czasami za

drzwiami możemy zastać urzędnika, ale wtedy wiadomo, że albo musimy za coś zapłacić, albo będziemy musieli za coś zapłacić, albo też chcąc zgodnie z odpowiednią interpretacją odpowiednich przepisów coś nam demokratycznie zabrać. Jedynie jeszcze listonosz roznosi pieniądze, czyli renty i emerytury, jednak jak długo jeszcze będzie to robił — nie wiadomo. Przecież pewnego dnia może trafić się listonosz, który zacznie odbierać to, co wcześniej inny listonosz rozdał.

Jak to jest z tym bezprawiem na szczeblu gminy, mogłem przekonać się parę dni temu, gdy do moich drzwi zastukał bardzo miły pracownik telekomunikacji.

— Bardzo państwa przepraszam — powiedział trochę speszony — ale chciałbym się zapytać czy będzie jutro otwarta furtka, bo będziemy kopać.

Ze słów tego pracownika wynikało, że ktoś z TP S.A. bez zapytania oczywiście wcześniej o zgodę postanowił, że studzienka kanalizacji telekomunikacyjnej zostanie wybudowana na prywatnej posesji. A co? Może wystarczy pokazać, że w planach jest taka studzienka na terenie placu narysowana, że to niby jest zgodne z prawem, i właściciel się zgodzi. Tym razem się nie udało, studzienka telekomunikacyjna została wybudowana poza posesją, ale zapewne zupełnie inny był na ten temat rozmowa, gdyby przed podjęciem decyzji przedstawiciel TP S.A. przyszedł z propozycją mogącą zadowolić obie strony.

Ze znajomością prawa przez mieszkańców Karczewa jest różnie. Mamy naszych przedstawicieli pośród samochodowych specjalistów, którzy wprowadzie na samochodowym rynku mają pewne zasługi, ale ostatnio, przynajmniej niektórzy z nich, zostali zmuszeni do

przyjęcia policyjnej interpretacji przepisów i okazało się wtedy, że zdania na temat prawa są podzielone. Policja podobno nie chciała uznać za precedens, opublikowanej w rodzimej literaturze wykładni prawa Kalego.

Ale są również i tacy, dla których prawo jest prawem, bez względu na to, czy jesteśmy w gminie Karczew, czy też w gminie Józefów.

Właśnie w Józefowie byłem świadkiem, jak jedna z mieszanek Karczewa nie dała się Józefowskiej Straży Miejskiej i po twardej, męskiej rozmowie, strażnicy musieli uznać, iż karczewianka mandatu nie zapłaci i nie ma sensu straszyć oddaniem sprawy do Kolegium ds. Wykroczeń. Tak więc Straż Miejska, chodzący dowód na demokratycznie wyrzucone pieniądze, musiała uznać argumenty, karczewianka odjechała, a strażnicy odbili sobie kasę na mieszkańcu Józefowa. Ten widocznie nie znał się dobrze na zasadach demokracji gdyż bez mrugnienia oka zapłacił „frycowe” za brak znajomości prawa.

Gdy tak rozglądam się dookoła dochodzę do smutnego wniosku, że coraz częściej „prawo” nie oznacza „prawa”, ale według niektórych osób są to koszty demokracji. Czy jednak musi tak być? Czy musimy się do tego przyzwyczaić? I właściwie o jakiej demokracji mówimy, w ten sposób określając prawo. Może ktoś mi to wytłumaczy, najlepiej prawnik, ale bardzo proszę niech będzie to normalny prawnik — bez doktoratu.

Krzysztof Kasprzak



Przygrzało słońeczko i od razu wędkarze zarobili brzegi Wisły. Wypad nad rzekę to okazja, aby dać poszaleć swemu czworonożnemu przyjacielowi. Pamiętajmy jednak aby — jak ten doberman — nasze psy miały założony kaganiec.

Fot. zds

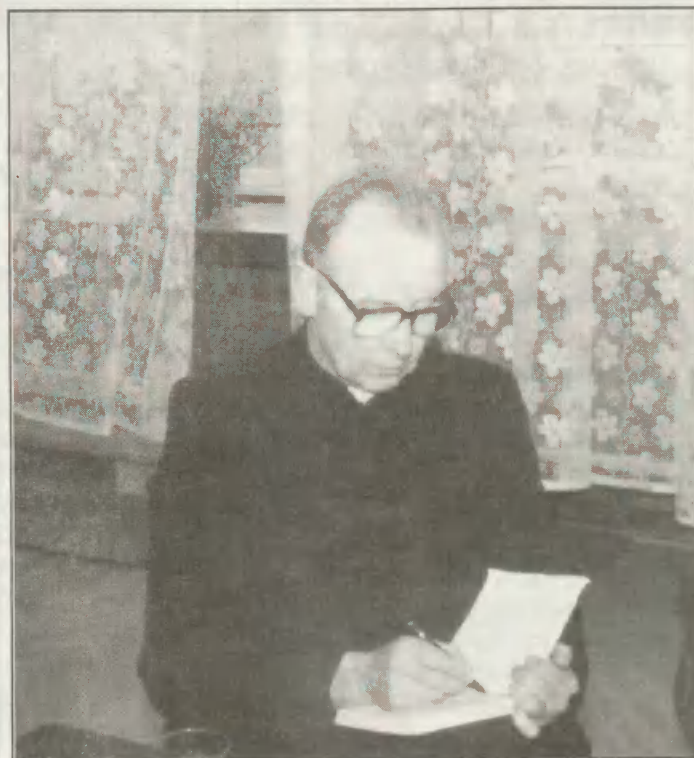
MNIEJ

Jest coś w tej trzynastce, że jedni uważają ją za liczbę pechową, inni zaś za szczęśliwą. XIII sesja Rady Miejskiej miała w porządku obrad aż 11 punktów, ale tak na dobrą sprawę najważniejszy był jeden: ustalenie liczby punktów sprzedaży alkoholu na terenie miasta i gminy oraz zasad, według których przydzielane mają być koncesje. Czyli ile i gdzie.

Przypomnijmy, że poprzednio rada ustaliła, iż wódka może być dostępna w 40. punktach. Trzeba przyznać, że jak na taką małą gminę, to tych sklepów z mocniejszymi trunkami naotwierano sporo. Wykorzystano limit, ale w styczniu pan Tomasz S. zrezygnował z tego przywileju i pozostało 39 sklepów. Czytelnicy „Głosu” z pewnością pamiętają, że decyzja rady o rozmnożeniu punktów sprzedaży wódki nie wszystkim się spodobała. Potępił ją przede wszystkim proboszcz Sylwester Sienkiewicz, ale Ośrodek Pomocy Społecznej i ruch AA — te dwie organizacje także doskonale wiedzą co oznacza łatwy dostęp do alkoholu. Nie bez powodu w każdym numerze naszego pisma jest rubryka „Uwaga! Alkohol”. Nie bez przyczyny dr Zygmunt Minner właśnie tu założył poradnię przeciwalkoholową.

Już przed sesją wiadomo było, że padną wnioski o zmniejszenie punktów sprzedaży. Biuro Rady przeprowadziło sondaż w radach sołeckich i komitetach osiedlowych, proszono o wnioski i opinie. Nie wszyscy skorzystali z możliwości wypowiedzi. Najliczniej zareagowała wieś. Większość sołtysów uznała, że wódka w miejscowych sklepach jest — jak to określił sołtys z Całowania — tak samo niezbędnym towarem jak chleb, mleko czy proszek do prania. Tylko Sobiekursk stwierdził, że po otwarciu punktu sprzedaży gorzały w tej wsi jest mniejszy spokój i nie życzy sobie takiego sklepu. Brawo!

Rada nie miała więc łatwego zadania. Na sesję — po raz pierwszy chyba, przynajmniej jak ja pamiętam — przybył ksiądz Sylwester, który początkowo tylko przysłuchiwał się obradom i coś notował, ale wywołany „do tablicy” przez radną Teresę Słomkę



ALKOHOLU

powiedział: „Ja uważam, że alkohol jest dla ludzi, ale wytworzenie atmosfery, że w każdym niemal sklepie można go nabyć, że stoi na każdej półce, że jest nawet tam, gdzie klientami są dzieci; pozwalanie, aby już one oswajały się z jego widokiem, nie jest dobre, nie jest zdrowe. Teraz kupią lemoniadę, a za jakiś czas wino, które stoi obok. Od rzemyczka do koniczka, jak mówi staropolskie przysłowie. Ja mam to „szczęście”, że mieszkam w domu przy „bramie raj”. Państwo wiecie o jaką bramę mi chodzi, o tę przy Bieleńskiego naprzeciwko Domu Parafialnego. Już od piątej, szóstej rano stoi gromada mężczyzn w różnym wieku i pije alkohol. Trwa to aż do zmroku. Pod każdym sklepem z alkoholem skupiają się gromadki myślące tylko o jednym, skąd wziąć pieniądze, kogo naciągnąć, od kogo „pożyczyć” na wódkę lub najpodlejsze wino.

Obok tych miejsc przechodzą dzieci idące do szkoły i wracające do domów. Patrzą na te scenki rodzajowe, nasiąkają tym widokiem. Co one myślą? Że to normalne: tak stać, pić, załatwiać bez skrępowania potrzeby fizjologiczne na oczach ludzi, dosłownie na środku ulicy. Proszę spojrzeć na rozdanej tu mapkę. Gdzie jest najwięcej sklepów z alkoholem? Ano na głównym trakcie Warszawskiej — Żaboklickiego, na Ługach aż czarno od kropek. Kiedyś było jedenaście miejsc sprzedaży i to łącznie z gastronomią. Uważam, że powinno się wrócić do tej liczby. Ja wiem, że Państwo macie inne zdanie. Otrzymałem pismo od pana burmistrza, w którym stwierdza się, że liczba sklepów nie ma nic wspólnego z rozpiciem społeczeństwa, że jak będzie mały dostęp to potworzą się meliny.

A jednak jestem przekonany, że od czasu rozszerzenia sprzedaży trunków widzi się więcej pijanych, jest więcej burd, alkohol płynie strumieniami. Najgorsze jest to, że piją już nie tylko starsi, pije coraz więcej młodzieży.

Ja wczoraj (27 lutego — przyp. zds) chciałem dzwonić do was wszystkich, do was, którzy wydaliście decyzję na te 40 sklepów z wódką, żebyście przyszli i zobaczyli straszliwie pijanego strażaka, który leżał w bramie kościoła i żebyście się nim zajęli, bo wy przyczyniliście się do tego, że wzrosło spożycie alkoholu. Wiadomo, że karczma dobrego nie zepsuje, a kościół złego nie naprawi, ale jest to też mądre polskie przysłowie, które mówi — okazja czyni złodzieja.

Podczas ostatniej kolędy chodziłem od domu do domu i pytałem o sklep, jeden sklep w Otwocku Wielkim, o którym słyszałem wiele złego. I wszyscy mówili to samo, że sklep funkcjonuje źle. On jest tylko pozornie zamykany o wyznaczonym czasie. W rzeczywistości funkcjonuje 24 godziny na dobę, o każdej porze można tam kupić alkohol. Czy ktoś to kontroluje? Chyba nie.

Proszę Państwa. Na terenie całej gminy mamy jedną księgarnię, a 40 punktów sprzedaży alkoholu. Czy was to nie zastanawia? I jeszcze słowo o melinach. Gdy były meliny, ja miałem prawo, a nawet obowiązek opuścić taki dom podczas wizyt duszpasterskich. To było jakieś napiętnowanie. Melinę mogła szykanować policja, mogła ją zlikwidować. Meliny były dostępne dla określonej grupy ludzi. Sklepy są dla wszystkich, wszystko odbywa się w waszej sprawie.

Ustawa mówi, że sklep z wódką nie może być bliżej niż 100 metrów od kościoła, szkoły, przedszkola itd. Jak się te metry mierzy? W linii prostej? Nie! Tzw. drogą dojścia. Co to znaczy? To znaczy, że jeśli ja zamknę na stałe bramę wejściową do kościoła od strony Żaboklickiego i będzie czynna tylko od strony Starego Miasta, to sklep z wódką może stać na tyłach prezbiterium, tuż przy parkowaniu. Bo żeby wejść na teren kościoła trzeba będzie przejść więcej

niż sto metrów. To czyste kpiny. Ja tylko tyle miałem do powiedzenia. Dziękuję za uwagę i apeluję do was o rozsądek”.

To wystąpienie księdza proboszcza wywołało ostrą polemikę. W efekcie zgłoszono kilka wniosków, od radykalnych — pana Henryka Niedziulki — aby wrócić do 11 sklepów z wódką, do liberalnych — pana Romana Wojciechowskiego — aby utrzymać 40. Wnioski pośrednie mówiły o 25 i 30 punktach sprzedaży. Po głosowaniach ostatecznie ustalono, że jednak ograniczenie do 30. będzie optymalne. Tak więc na mocy kolejnej uchwały Rady w gminie i mieście będzie tylko „30 punktów sprzedaży alkoholu wysokoprocentowego przeznaczonego do spożywania poza miejscem sprzedaży”.

Dziewięć zezwoleń trzeba będzie cofnąć. Przede wszystkim prawdopodobnie będzie tylko po jednym sklepie we wsi (z wyjątkiem Sobiekurska, gdzie ludzie nie życzą sobie takiego sklepu). Mniej będzie alkoholu w centrum Karczewa. Z całą pewnością nie powinno go być w sklepach położonych najbliżej kościoła i w pobliżu ulic, którymi zwyczajowo chodzą dzieci w drodze do i ze szkoły. Na pewno zmniejszy się liczba sklepów na Ługach. Zdaniem przewodniczącego Rady, powstanie mapa, na której zaznaczy się miejsca, gdzie takie sklepy mogą być sytuowane.

Szczegółowe zasady przydziału nowych zezwoleń są dopiero opracowywane. W tym roku traci ważność 31 zezwoleń.

XIII sesja była szczęśliwa dla tych, którzy walczą o trzeźwość mieszkańców miasta i gminy i nieszczęśliwa przynajmniej dla dziecięciu właścicieli sklepów. Swoją drogą ciekawe w kogo uderzy ta uchwała i czy ukarze tych, którzy naruszyli normy postępowania.

Zbigniew D. Skoczek
Fot. autora



W tym roku zaczęło obowiązywać nowe, bardzo rygorystyczne prawo budowlane. Szczególnie czułe na tzw. samowolę budowlaną. W Polsce budować umie każdy, tak jak leczyć czy też politykować. Toteż rzadko kto brata się z architektem czy stara o jakieś zgody. Kupuje materiał i buduje co mu potrzeba. Zdaniem pań z referatu architektury i Nadzoru Budowlanego — Bogumiły Trzaskowskiej i Jolanty Bajerowskiej, dotychczas samowolka była karana grzywnami, tylko niekiedy dochodziło do rozbiórki. Teraz jednak każda budowa bez zezwolenia, każde odstępstwo od planu będzie karane podwójnie: grzywną i rozbiórką bezwzględna.

Spółeczność gminy, która lubi sobie posawolić i nierzadko budowała nawet na terenach rolnych, nowe prawo powinno zainteresować. Szczególnie, iż nowy plan zagospodarowania przestrzennego otworzył nowe tereny budowlane. Na terenach wsi, na przykład, dopuszcza się już możliwość pobudowania domu przez nie-rolnika, a co za tym idzie — przepisanie kawałka ziemi dzieciom pod zabudowę jednorodzinną. Dopuszcza się możliwość budowania obiektów usługowych. Nowe uślawy z pewnością spowodują rozkwit wszelkiego budownictwa w gminie, pod warunkiem wszakże, iż będzie ono legalne.

Nowe prawo budowlane, zgodnie z bandycką tradycją narzuconą jeszcze przez komunistów — działa wstecz. Urząd może ścigać samowolnych budowniczych, którzy coś tam ulepili nawet pięć lat przed wejściem nowego prawa, czyli do 1990 r. Co nie znaczy, że musi. Jeżeli proces inwestycyjny zakończył się w roku 1994 i właściciel zaczął lokal czy obiekt użytkować — można taką nielegalną budowę zalegalizować, ale... Wiąże się to z wypełnieniem określonych obowiązków. Jakich? Czysto architektonicznych: inwentaryzacja architektoniczna obiektu, geodezyjna, opinie techniczne itd. Praktycznie trzeba zrobić to wszystko, co się powinno zrobić przed przystąpieniem do budowy. Tylko po fakcie koszty będą z całą pewnością znacznie wyższe. Mamy wolny rynek.

Jeżeli jednak ktoś rozpoczął budowę na przykład w 1985 roku, ale kontynuuje ją obecnie i taki fakt dotrze do referatu architektury, to reakcja może być tylko jedna — natychmiastowa rozbiórka i wysoka kara. Wiele więc będzie zależało od sąsiadów — doniosą czy nie? Pierwszy przypadek skargi sąsiedzkiej już odnotowano. Sąsiad zaskarżył sąsiada, że ten nielegalnie buduje szambo. Zrewanżował się, gdyż ten od szamba wcześniej nie dał tamtemu wybudować po cichu garażu. Może to rygorystyczne prawo spowoduje, że będzie mniej waśni sąsiedzkich. Zanim czegoś sąsiadowi odmówisz — zastanów się czy sam nie



Jak wszędzie, tak i w Karczewie nie brakuje kontrastów. Te zdjęcia to tylko fragment większej całości. Od góry: ulica Warszawska przy Bednarskiej; Karczówek; Rynek. Fot ZDS

będziesz chciał wystawić szopy, czy chlewiki. To taka dobra rada, bo osobiście nie wierzę, aby samowolne budowy ustały. Nie w naszym kraju, gdzie każdy w swej zagrodzie równy wojewodzie. Mam działkę, to mogę robić co mi się podoba...

Nowe prawo nakłada szereg nowych obowiązków na inwestora. Do tej pory było tak, że człowiek który chciał postawić dom i zgłaszał tę chęć w referacie architektury, wychodził z pokoju urzędu ze wszystkimi dokumentami dotyczącymi budowy, teraz nie. Przyjdzie, zgłosi, dostanie dziennik budowy, szuka sobie inspektora nadzoru, którego sam opłaca, z inspektorem zgłasza się ponownie do urzędu, dostaje zgodę na budowę. Inspektor musi pilnować, aby nie było żadnego odstępstwa od projektu. Jak kupimy gotowy projekt typowy, a chcemy coś inaczej zbudować, co oczywiste, to też trzeba na to uzyskać zgodę. Nie można przerabiać żadnych ścian nośnych, przesuwac drzwi i okien. Najwyżej ściany działowe pozwala się ustawiać dowolnie.

Masz dom i chcesz dobudować ganek, albo daszek, albo duży taras, to musisz wystąpić o zgodę. Jest coś idiotycznego w tym nowym prawie, że pozwala mi bez zezwolenia wybetonować całe podwórkę, co jest zbrodnią samą w sobie, a nie zezwala na budowę stylowej altanki: bez projektu, opłat, zatwierdzeń, inspektorów itd. Władza może nakazać, aby na danej ulicy wszystkie ogrodzenia miały metr wysokości i żeby były białe, może nakazać kolor elewacji, kształt budynku lub tylko dachu.

Prawo to szalenie osacza człowieka. Może dlatego, że w minionych latach duży liberalizm doprowadził do wybudowania w całej Polsce setek tysięcy maszkar i bałaganu architektonicznego. Przykładem jest będące nadal w budowie osiedle Warszawska, gdzie chociaż domy są pod względem formy bez zarzutu, to jednak odstępstw od projektów jest co niemiara. To osiedle w planie było bardzo ładne, a jakie jest, każdy widzi.

Według pań z referatu, z tym osiedlem będą jeszcze problemy w wielu przypadkach budynki nie są jeszcze odebrane. Będą odbierane według nowego prawa. Przy rażących odstępstwach od projektu do odbioru na pewno nie dojdzie. Panie Bogusia i Jola mówią o sobie, że są urzędniczkami z sercem, między tymi wszystkimi przepisami zawsze starają się dostrzec człowieka. Ale ludzie muszą zacząć postępować z poszanowaniem prawa. Muszą uwierzyć, że budowy nielegalne będą rozbiegane.

Urząd nie da się już ponoć nabierać na remonty polegające na murowaniu nowego domu wokół starego, który później jest rozbierany. Nazywało się to oficjalnie obmurowywaniem drewniaka i nie wymagało zgody odpowiednich władz. Remont dachu

związany z przebudową konstrukcji też wymaga legalizacji. Kupując działkę budowlaną musimy pamiętać o tym, aby zapytać w odpowiednim wydziale architektury jaki dom będziemy mogli na niej postawić. Może się okazać, że na tym terenie wolno stawiać tylko domy parterowe, a my chcemy piętrowy, że ma być z dachem dwuspadowym, a my chcemy z kopertowym itd. Chociaż generalnie tzw. mieszkaniówka nie jest zbyt obwarowana przepisami. Znacznie gorzej jest z budownictwem usługowym i przemysłowym, bo ono wymaga dodatkowych ekspertów, opinii różnych instytucji itp.

Jak to nowe prawo przyjmie społeczeństwo? Zadowolone z pewnością nie będzie. Zaczyna się wiosna, ruszą budowy, albo zacznie się krzyk i lament. Trudno być urzędnikiem w mieście, w którym wszyscy wszystkich znają, a przynajmniej trzy czwarte, to bliżsi lub dalsi krewni. W mieście jest wiele ruder, których nie da się przynajmniej w najbliższych latach rozebrać, ponieważ nie można ludzi wyrzucić na bruk. Znikają tylko opuszczone domy. Jak ostatnio ten vis-a-vis budynku urzędu. Sprzeciw mieszkańców budzą wszelkie nakazy porządkowe. Każda taka decyzja jest równoznaczna z decyzją rozsiedzonego delikwenta gotowego pobić urzędnika. W zeszłym roku wyszło z architektury ponad 100 decyzji porządkowych, aby poprawić ogrodzenie, opatrzyć dach, usunąć to i owo z podwórka lub nawet z ulicy. W większości pozostały one na papierze. Kazano na przykład w starym domu wymienić instalację elektryczną, bo groziła pożarem — protest, wyzwiska. Kazało się posprzątać w chłopskich zagrodach, doprowadzić do porządku komórki i inne zakamarki, których na każdym podwórku są dziesiątki — mało nie rozniesiono urzędu. Jeden wielki krzyk — mówi pani Bogusia. — Pani kochana poszłam do elektryka, a ten łobuz chce 600 tys. Pani mnie da, to ja mu zapłacę. — Jak chceta parkan naprawić, to naprawiajta, ale na swój koszt, nie na mój. I co z takimi ludźmi robić?

— Idę do jednej starszej osoby z nakazem rozbiórki walącej się komórczyny — mówi Jolanta Bajerowska — a ona klęka przede mną, za nogi mnie obejmuje i błaga, żeby odstąpić od rozbiórki, bo ona tam węgiel trzyma. To człowieka rusza.

Jednostki kontrolujące władzę gminy wymagają, aby przepisy bezwzględnie egzekwować. To niech przyjdą i egzekwują, z rejonu czy z województwa, niech popatrzą jak to miło być urzędnikiem w gminie. Na przykład przepis mówi, że na terenie zabudowy jednorodzinnej w mieście nie powinno się hodować bydła czy trzody chlewnej. Dopuszcza się to tylko na terenie tzw. zabudowy siedliskowej, gdzie są duże działki. A jednak w Karczewie świnie hoduje się w co

drugim domu. To tradycja, która może umrzeć tylko śmiercią naturalną, najwcześniej za kilkadziesiąt lat. Nie pomoże Sanepid, ani ochrona środowiska, ani architektura, ani strażacy, którzy czuwają nad bezpieczeństwem przeciwpożarowym. Gdyby te czynniki zjednoczyły się i zechciały wspólnie działać, byłaby to walka z całym miastem. I, jak to mówią, nie wiadomo, kto by przegrał, ale na pewno nie mieszkańcy. Kilka lat temu Urzędem Skarbowym w Otwoku kierował osobnik zwany „Rudym”. To było w okresie represyjnego prawa stanu wojennego (lata osiemdziesiąte). „Rudy” wydał wojnę okolicznym przedsiębiorstwom. Jakiś czas walczył, raz z nim powalczono, w efekcie przedsiębiorcy zostali, a on odszedł. Paragrafy przesłoniły mu widok zwykłego człowieka.

Na szczęście urzędnicy, którzy kierują się nie tylko literą prawa, ale przede wszystkim rozumem, myślą podczas pracy. Nie jest to zjawisko częste, raczej dość rzadkie, więc jak człowiek trafi na dwie takie „ludzkie baby” to się cieszy.

Zbigniew D. Skoczek

ZAPROSZENIE

Zarząd Ochotniczej Straży Pożarnej w Karczewie zaprasza mieszkańców miasta na zebranie sprawozawczo-wyborcze, które odbędzie się w dniu 30 kwietnia 1995 r. (w niedzielę) w gmachu OSP o godz. 17.00 Poza sprawozdaniami i wyborami członków Zarządu omawiane będą sprawy przeznaczenia i zagospodarowania budynku OSP.

Opinia mieszkańców miasta w tej sprawie ukierunkuje dalszą działalność Zarządu.

Zarząd OSP spodziewa się, że jak zawsze społeczeństwo nasze i tym razem nie zawiedzie swojej organizacji.

Prosimy zatem o liczne przybycie.

Zarząd OSP



Szef gminnego PSL Ryszard Kazubski był uczestnikiem ostatniego Kongresu tej partii w lutym br. Kongres ten miał kończyć obchody 100 lecia ruchu ludowego w Polsce, miał być czymś w rodzaju uroczystego podsumowania. A jednak wydarzenia polityczne związane ze zmianą gabinetu wewnątrz koalicji spowodowały, że przerodził się w roboczą konferencję roztrząsającą upadek gabinetu premiera Pawlaka. Byłemu premierowi, pełniącemu nadal funkcję prezesa PSL nie szczędzono uwag krytycznych. Wśród tych głosów bodaj jedynym, który nie potępiał wszystkiego w czambuł, a raczej namawiał do rozwagi i chwalił poczynania PSL, był głos Ryszarda Kazubskiego. Po powrocie z Kongresu pytam go, dlaczego nie przyłączył się do większości?

— Ja wychodzę z założenia — mówi — że jak się za coś bierzemy, to musimy wierzyć w skuteczność działania, mieć jakiś pomysł jak doprowadzić dzieło do końca. A zatem, skorośmy się zgodzili, aby nasz prezes był premierem, to chociaż mamy do niego tysiące drobnych uwag, to przede wszystkim radźmy co zrobić, aby odzyskał on swoją pozycję. Moim zdaniem Kongres był totalnym lamentem, wylewaniem łez, wykrzykiwaniem pretensji, że prezes nie załatwił PSL dostępu do telewizji, że nie załatwił dostępu do prasy, że partia jest w cieniu itd. A ja uważam, że po to się ma członków partii, aby oni działali, tworzyli przyjazny klimat w społeczeństwie. Nie można własnej nieudolności zwać na barki jednego prezesa Pawlaka.

Po co nam dostęp do prasy, jak mamy własną prasę. Ale jaką? Także nieudolną, jakąś zakompleksioną, dziennikarzy bez siły przebicia. Mogła być kiedyś „Gazeta Ludowa” najlepszym polskim dziennikiem? Mogła. To dlaczego nie może być teraz takiej gazety? Pismo robią dziennikarze.

Trzeba wchodzić w jakieś układy towarzyskie, tworzyć koterie, wejść w świat mediów. To że prezes stroni od dziennikarzy nie znaczy, że wszyscy mają tak postępować. Dostęp do tv rozumiany jest tak: niech nam dadzą tyle i tyle czasu, a my sobie sami zrobimy program jaki będziemy chcieli. A przecież można inaczej, niech dziennikarze pytają, a my będziemy odpowiadać co będziemy chcieli, bierzmy udział w spotkaniach, dyskusjach, zapraszamy ich na reportaże, niech kręcą filmy dokumentalne. Jest tyle programów radiowych i telewizyjnych, tyle pism, że zawsze znajdzie się miejsce na ludowca, zwłaszcza z partii współrządzącej. Tylko od nas zależy czy będziemy w mediach, czy nie. To właśnie powiedziałem.

— Były burzliwe oklaski?

— Nie bardzo.

— Ale prezes klaskał i podobno zaprosił cię do współpracy.

— Tak. Waldemar Pawlak podeszedł do mnie po zakończeniu obrad, podał mi rękę i spytał czy mogę być do jego dyspozycji.

— Co to oznacza? Awans w partyjnej hierarchii?

— Ja myślę, że chodzi o jakieś doradztwo, o udział w jakichś gremiach opracowujących strategię.

— Jaka jest pozycja PSL w gminie? Tylko o was się słyszy. Jesteście jedyną partią?

— Nie sędzę, z pewnością są ogniwa innych partii, ale PSL jest najsilniejszą, ma struktury rozbudowane, dwustu członków. Jesteśmy obecni w każdej wsi. Ale nie prowadzimy działalności politycznej, agitacyjnej. Nam chodzi raczej o sprawy gospodarcze, o zapewnienie ludziom na wsi godziwego życia. Żeby były wodociągi, żeby dotarł gaz, żeby doprowadzono telefony, żeby były przejezdne drogi. Te cele określają naszą działalność. Nie pchamy się do władzy. Mamy dość pokory, aby wiedzieć, że są lepsi, bardziej przygotowani do kierowania miastem i gminą. Zaraz po wyborach ktoś mnie zapytał: co byście zrobili, gdyby Pszonka nie przeszedł w wyborach? Kogo z PSL zrobilibyście burmistrzem? A ja odpowiedziałem i powtarzam to publicznie, 'wynajęlibyśmy Pszonkę i powierzyli mu stanowisko burmistrza, bo jest dobrym gospodarzem. A my chcemy mu pomagać realizować uchwały Rady.

— Wieś ma żyć godnie. Ale jaka wieś? Taka jak w tej gminie? rozdrobniona, matorolna?

— No, właśnie. My zdajemy sobie sprawę z tego, że wieś musi się zmienić. Rolnictwo w takim stanie, jak jest, dalej być nie może. PSL jest świadom tego, że dwu-, trzyhektarowe gospodarstwa u nas, pod Warszawą, może mają jeszcze jakąś rację bytu, ale nie na dłuższą metę. Ludzie na wsi muszą się brać za pozarolniczą działalność. Nowy plan zagospodarowania przestrzennego dopuszcza na wsi zabudowę usługową i przemysł nieuciążliwy.

PAWLAK PROSI

— A co z rolą? Komasacja?

— Tak, ale w naturalny sposób, nie dekretem. Te przekształcenia wymagają przede wszystkim powszechnej telefonizacji. Bez telefonu i faxu dziś już nie można być nawet szewcem. Dlatego do rozbudowy sieci telefonicznej przykładamy dużą wagę. Sądzę, że w tym roku będzie oddana do użytku duża centrala.

— Czy ta rada, w której PSL ma sześciu przedstawicieli, sprawiedliwie dzieli skromne dobra na miasto i wieś?

— Według mojego odczucia, to przepychanki były i będą, bo to naturalne, każdy by chciał zrobić u siebie jak najwięcej. Z pewnością chcielibyśmy, aby na wieś szło więcej pieniędzy, aby inwestycje toczyły się szybciej, ale przecież wiemy, że mias- to też jest zaniedbane i wymaga ogromnych inwestycji. Karczew jest stolicą gminy i też chcemy, aby był miastem pięknym. Reasumując, uważam, że pieniądze dzieli- limy sensownie.

— Z czego można żyć na wsi poza rolnictwem?

Przed wszystkim z przetwórstwa. Trzeba zająć się przetwarzaniem płodów rol- nych. Rolnicy są często bezradni, jak dzieci. Trzeba ich prowadzić, pomagać zła- pać kierunek. Uważają, że te parę hektarów powinno im wystarczyć do życia, a jak nie wystarcza to znaczy, że władza źle rządzi. A na tych paru hektarach można przecież nie siać żyta czy kartofli, tylko założyć intensywną uprawę warzyw dla War- szawy. Zdrowych warzyw, na dobrym nawozie, bez chemii. To każdy kupi.

— Dziękuję za rozmowę. Do spraw związanych z restrukturyzacją wsi będziemy wracali, bo to temat ważny.

Zbigniew D. Skoczek

KAZUBSKIEGO



Ulica Podlaska leży w „Trójkącie Bermudzkim”, między cmentarzem, ciepłownią i zakładami przemysłu spożywczego. Zdaniem mieszkańców jest to rejon zapomniany i zaniedbany przez urząd.

Mieszkańcy ulicy Podlaskiej i Brzozowej wielokrotnie zwracali się do Burmistrza i Rady Miejskiej w sprawie kanalizacji, wodociągu a przede wszystkim nawierzchni naszej ulicy.

Sprawa rażących zaniedbań ulicy Podlaskiej przez Urząd była przedstawiana również na sesji Rady Miejskiej.

Władze miejskie nie zdają sobie sprawy z tego, że ulica Podlaska jest najbardziej narażona na zanieczyszczenia, ponieważ jest od-

PODLASKA CZY



dalona 150 m od cmentarza, 200 m od Zakładu Ciepłowniczego i 100 m od Zakładów Przemysłu Spożywczego. Dlatego też w pierwszej kolejności ulica ta wymaga podstawowych inwestycji.

Niestety, inwestuje się ulice mniej zaludnione i na innych krańcach Karczewa, jak np. osiedle „Złotnicza” — 12 posesji a obecnie osiedle „Częstochowska” — 5 uliczek, gdzie mieszka mniej ludzi niż na Podlaskiej.

Osiedle „Częstochowska” jest wyasfaltowane dlatego też uważamy, że dla mieszkańców tej części Karczewa nie byłoby sprawą tak uciążliwą poczekać na wodę i kanalizację.

My natomiast brodzimy po błocie już dziesiątkami lat. Niszczymy swoje zdrowie, samochody i buty. W zimie oddychamy spalinami z Zakładu Ciepłowniczego a w lecie tumanami kurzu z osiadłą siarką, podnoszonymi przez samochody jeżdżące do zakładów przemysłowych.

Obecnie Urząd będzie wykonywał kanalizację ulicy Piłsudskiego, zapewne dlatego, bo tam ma być po drugiej stronie nowe osiedle a więc teren będzie już uzbrojony dla nowo zamieszkających mieszkańców.

Tymczasem ci z Podlaskiej, którzy dziesiątki lat płacą podatki, niech sobie chorują. Dla naszych władz ważniejszy jest przyszły wątpliwy interes niż dbałość o stary Karczew i jego mieszkańców.

Ze zdumieniem dowiadujemy się, że zaplanowano w budżecie wykonanie ulicy Andersa i Grota-Roweckiego. Ulice te istnieją dopiero od dwóch lat, mają utwardzone drogi osiedlowe płytami betonowymi i wyasfaltowane połączenie z Karczewem. Jednak Zarząd Miasta zobowiązał się na piśmie do finansowania nakładek asfaltowych, a Rada zarezerwowała w budżecie setki milionów złotych.

Uważamy, że działania jak wyżej są niezgodne ze sprawiedliwością społeczną i powiększają ogromnie kontrasty w warunkach zamieszkania i życia w Karczewie.

Zaś w centrum Karczewa dozbraja się ciągle te same ulice, potem poprawia nawierzchnię i chodniki. Te poprawki są przecież bardzo kosztowne. Świadczy to o nieplanowej gospodarce, przynoszącej społeczeństwu szkody. W przeszłości faworyzowano te ulice, gdzie mieszkał np. przewodniczący rady lub inni radni. Nie chcielibyśmy się dopatrywać podobnych działań obecnej Rady.

Z tym procederem należy skończyć, bo doprowadza do bałaganu na ulicach miasta i irytuje mieszkańców.

Dlaczego przed ulicą Podlaską będzie się robiło kanalizację na ulicy Bohaterów Powstania Listopadowego i Prądzyńskiego?

Tłumaczyliśmy wielokrotnie — zresztą władze same powinny o tym wiedzieć, że ulica Podlaska spełnia rolę nie tylko drogi osiedlowej ale jest:

BAGIENNA?



- najkrótszą drogą dojazdową do zakładów ze wszystkich wsi,
- dojazdem i dojściem na cmentarz,
- dojściem młodzieży do technikum.

Po przejechaniu ciężkich wozów (z drobiem, mlekiem, serwatką, żużlem, folią itd.) ulica zamienia się w trzęsawisko nie do przebycia. Obrazują to załączone zdjęcia.

Prosimy zatem o umieszczenie w planach w najbliższym roku oraz wykonanie budowy i uzbrojenia ulicy Wschodniej do Brzozowej oraz ulicy Brzozowej. Razem jest to odcinek około 300 m.

Liczymy na poważną ocenę i potraktowanie naszego pisma.

Adam Cepiak
Przewodniczący Komitetu Osiedlowego 4



To dopiero był polonez, majestatyczny, dostojny...



Dzięki rodzicom stoły uginały się od łakoci.



Dyrektor Lech Stangierski uroczystie wypowiedział słowa „Poloneza czas zacząć” wszyscy zapatrzyli się w łączący korowód.

Dyrekcja Zespołu Szkół Zawodowych tak się nie mogła doczekać studniówki, że urządziła „studniówkowy” bal uczniom kończącym szkołę zasadniczą. W tym roku doczekano się wreszcie.

Swoje studniówkowe święto miała pierwsza w dziejach ZSZ klasa maturalna. Zabawa odbyła się w Szkole Podstawowej nr 2, bo ZSZ nie ma odpowiedniej sali. Zgodnie z tradycją uświetniły ją swą obecnością miejscowe władze: pan burmistrz Mirosław Pszonka, pan przewodniczący Rady Mirosław Dąbrowski oraz poseł na Sejm pan Janusz Piechocki z PSL. Wraz z młodzieżą bawiło się liczne grono profesorów i rodziców, którzy bal przygotowali. Jak nakazuje zwyczaj, uroczystość rozpoczęto polonezem, a po części oficjalnej i toaście wzniesionym szampanem, zabawa trwała do białego rana.

Samorząd Szkoły.

Taniec połączył uczniów i nauczycieli.



WRESZCIE PRAWDZIWA



Zmysłowe tango, tango, tango...

*Młodość
szalała
do
błętego
rana*

*Goście, nauczyciele, rodzice i pierwsi absolwenci Technikum
Samochodowego w Karczewie.*



NAD WISŁĄ



W wiosenny dzień jeden z naszych czytelników wybrał się nad Wisłę w poszukiwaniu wiosny. Wziął ze sobą psa, aby i ten pooddychał wiosennym powietrzem. Zostawili samochód na ostrodze i ruszyli. Pies spuszczonej ze smyczy czmychnął gdzieś w boczną drogę i przepadł. To skłoniło naszego czytelnika do ruszenia w jego ślad.

— Gdyby nie pies — mówi nam po powrocie — nigdy pewnie nie trafiłbym na to, na co natrafiłem. A mianowicie na wysypisko odpadów rzeźniczych tuż opodal wody. Kości, czerepy, wnętrzności, odór nie do wytrzymania. Tam znalazłem mego czworonoga. Kilkadziesiąt metrów dalej znalazłem wysypisko butelek po spirytusie Royal, tysiące całych i potłuczonych butelek. To znaczy, że gdzieś niedaleko jest rozlewnia tej trucizny. Jakby tego było mało, zaraz niedaleko butelek piękne „dymarki”. Wybrane z ziemi siedlisko, z blach palenisko, liczne osłony kabli i wypalona izolacja. Co to takiego? Ano nic tylko miejsce, w którym złodzieje oczyszczają kradzione przewody telefoniczne i inne zawierające miedź. Niektóre doły jeszcze dymiły, więc z pewnością wykorzystywano je niedawno.

Jak to jest, że ja na głupim spacerze wpadłem na te ślady nocnej roboty, a policja, której zadaniem jest penetracja środowisk przestępczych i ich likwidacja, pozwala, aby pod jej boki działały się takie rzeczy?

Czy nie można zrobić zasadzki na bandziorów i ich wyłapać? Czy nie można przypilnować karczewskich rzeźników jak wyrzucają odpady na pola? Ja uważam, że można. Przecież wiadomo kiedy najczęściej handluje się mięsem, kiedy są jarmarki w okolicy. Na przykład w Otwocku największy bazar jest w piątek, mniejszy we wtorek, z pewnością szlachtowanie odbywa się w przeddzień. To karygodne, żeby paru handlarzy mięsem zanieczyszczało bezkarnie wszelkie możliwe miejsca wokół Karczewa i Otwocka. Tych odpadów jest tyle, że może opłacałoby się komuś otworzyć fabryczkę przerabiania ich na karmę dla zwierząt czy coś w tym rodzaju. (notował s)

Srebrny „Rych”

Sypią się nagrody dla mieszkańców Karczewa. W ubiegłym roku „Srebrnego Asa” otrzymał zakład pana Andrzeja Laskusa, a na przełomie roku 94 i 95 — „Srebrną Patelnię” uhonorowano bar prowadzony przez mieszkańca osiedla Ługi — Ryszarda Gulczyńskiego.

Jest on karczewianinem od czterech lat, od kiedy zamieszkał przy ul. Grota-Roweckiego na Ługach.

Ryszard ukończył szkołę gastronomiczną. Dziewięć lat praktykował w kuchni warszawskiego Hotelu Forum, później był szefem kuchni w restauracji „Dolce Vita” w Starej Miłosnej. W 1993 r. zaczął myśleć o własnym lokalu. Miał szczęście, akurat splajtował mały barek w Otwocku. Z pomocą rodziców udało mu się przejąć ten lokalik i urządzić w nim bar bistro. Maleńki, mieści się w nim zaledwie sześć trzyosobowych stolików, ale za to karta dań zawiera potrawy kuchni włoskiej, chińskiej, francuskiej, rosyjskiej i polskiej. I ta różnorodność dań, sposób ich podania, a jednocześnie doskonały smak i przystępne ceny sprawiły, że bar Ryszarda Gulczyńskiego jury konkursu wybrało jako najlepszy w całym województwie warszawskim. „Srebrną Patelnię” wręczał wojewoda Bohdan Jastrzębski. Dla niewtajemniczonych warto

dodać, że jest to najwyższe odznaczenie w konkursach gastronomicznych, złotych patelni nie ma.

Marzeniem Ryszarda jest jednak większa restauracja z pomieszczeniami klubowymi. Chciałby ją otworzyć w Karczewie. Jeden z mieszkańców naszego miasta, stały bywalec, którego nazwiska nie chce zdradzić, namawia go do zainteresowania się starą częścią karczewskiej remizy. Może to jest dobry pomysł. W każdym razie warto skłonić Ryszarda do spotkania ze strażakami.

— Mam jedną prośbę — mówi na zakończenie naszej pogawędki — proszę napisać, że swój sukces dedykuję rodzicom, którzy dołożyli wszelkich starań, żebym mógł ten barek otworzyć. Bez ich pomocy nie dałbym sobie rady.

Państwo Gulczyńscy mieszkają w Otwocku i prowadzą aptekę w Śródborowie.

Jak się dowiedziałem, ogromnym powodzeniem klienteli „Rycha” cieszy się biała kielbasa, którą dostarczają od dwóch lat Zakłady Mięsne w Karczewie oraz poławdwa wieprzowa, której wyłącznym dostawcą jest pan Mieczysław Grzęda z ulicy Wiślanej. Z nich powstaje większość dań. (z)

Fot. Z.D. Skoczek

Ryszard Gulczyński z dowodem uznania — „Srebrną Patelnię”. Jego „Bar Bistro Rych” mieści się obok Banku Spółdzielczego w Otwocku przy ul. Kołłątaja. Czynny jest od poniedziałku do soboty w godzinach pracy okolicznych sklepów, a więc od dziewiętej rano do godziny osiemnastej (w soboty do piętnastej).



TPD DZIĘKUJE

Uwzględniając potrzeby swoich podopiecznych, Zarząd Otwocki Towarzystwa Przyjaciół Dzieci zorganizował i prowadził 6 półkolonii zimowych z udziałem prawie 250 dzieci, zaś na terenie Karczewa dla 56 dzieci.

Ich uczestnikom zapewnione zostały co najmniej 2 posiłki każdego dnia, atrakcyjne zajęcia terenowe, świetlicowe, wycieczki, turnieje sportowe, które stwarzały warunki do zadowolenia, satysfakcji, radości.

Było to możliwe m.in. dzięki wsparciu wysiłku TPD przez życzliwych sprzymierzeńców.

W związku z tym Zarząd Otwocki TPD serdecznie dziękuje:

- Panu Burmistrzowi Karczewa za pomoc finansową oraz udostępnienie sali widowiskowej na imprezy dla wszystkich półkolonii,
- Pani Sekretarz Urzędu Gminy Karczew za różne formy pomocy,
- Pani Dyrektor MGOK w Karczewie za zaproszenie na imprezy organizowane przez tę placówkę,
- Pani Kierownik Środowiskowego Ogniska Wychowawczego i wychowawcom za wzbogacenie i uatrakcyjnienie zajęć w czasie ferii.

**W imieniu Zarządu Otwockiego TPD
Czesław Ziemiński**

Matka spokojna

Tegoroczne ferie moje dzieci (6 i 11 lat) spędziły w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury, który zapewnił im ciekawe zajęcia, atrakcyjne wyjazdy i doskonałą opiekę. Dzieci były zadowolone, a ja — spokojna w pracy. Ukoronowaniem ferii był bal karnawałowy, bardzo dobrze przygotowany. Dzieci bezpłatnie częstowano chrupkami i sokami owocowymi. Moje dzieci zakochały się w MGOK i będą go odwiedzały w każdej wolnej chwili.

Danuta Cieślak

**Sprzedam działkę budowlaną.
Karczew ul. Krzewniaka 11.
Telefon 664-46-60.**

URZĄD REJONOWY W OTWOCKU
ZATRUDNI, W ODDZIALE NADZORU
BUDOWLANEGO, ARCHITEKTA
Z UPRAWNIENIAMI.
INFORMACJA:
URZĄD REJONOWY W OTWOCKU
UL. ARMII KRAJOWEJ 5, OTWOCK
TEL. 779-50-64

Z działalności Miejsko-Gminnego Ośrodka Zapobiegania i Leczenia Uzależnień

Ośrodek ten od początku 1994 roku mieści się przy ulicy Świderskiej 27. Z samej nazwy wynika, że celem jego działania jest pomoc osobom uzależnionym, a także ich rodzinom. Po ponad rocznym okresie funkcjonowania chciałbym podzielić się kilkoma uwagami, jako że mam przyjemność pracować w tym miejscu. Najpierw przedstawię na czym ta pomoc polega, kto tam przychodzi, co tam się dzieje. Początkowo, tzn. wiosną 1994 r. mieliśmy ok. 40 wizyt miesięcznie. Na przełomie 1994/95 wizyt tych jest czterokrotnie więcej a ich liczba stale rośnie. Trafiają do nas osoby, które mają problemy w związku z piciem alkoholu, dość często przmuszone przez sytuacje w jakich się znalazły: albo żona grozi rozwodem, albo sąd zmusza do podjęcia leczenia za znęcanie się nad rodziną, albo ktoś zostaje wyrzucony z kolejnej pracy lub też ktoś inny dochodzi do wniosku, że sam nie może poradzić sobie ze swoim piciem. W tym miejscu należy obalić krążący mit o alkoholiku, który rzekomo jest człowiekiem pijącym cały czas, dzień po dniu. Jest to nieprawda. Alkoholik ma okresy niepicia, okresy abstynencji trwające różnie długo. Nawet do kilku miesięcy. Okresy te są potrzebne, aby mógł naprawić szkody wynikające z picia: podreperować ciało (wątrobę, serce, nerki), spłacić długi, udobrychać żonę, odrobić zaległości w pracy i wiele, wiele innych. A jak tego dokona to sięga po nagrodę i wszystko zaczyna się od nowa. Zaczyna się nowy ciąg. Więc jeśli ktoś taki trafia do naszego Ośrodka to w czasie 2 - 3 pierwszych spotkań indywidualnych pracujemy nad wzmocnieniem motywacji do podjęcia leczenia, przedstawiamy naszą ofertę terapeutyczną. U jej podstaw jest uczestniczenie w grupach terapeutycznych.

W grupie edukacyjnej osoba chora dowiaduje się na czym polega choroba alkoholowa. W grupie tzw. „Pierwszego Kroku” odpowiada sobie na pytanie czy jest chora na „zespół uzależnienia od alkoholu”. Bo tylko wtedy, gdy alkoholik rozpozna u siebie tę groźną, śmiertelną, postępującą chorobę, może sobie z nią poradzić. W kolejnej grupie alkoholik uczy się jak ma żyć z tą chorobą: w rodzinie, w społeczeństwie. Uczy się jak radzić sobie z chorymi emocjami, jak odmawiać alkoholu, i wielu, wielu innych zachowań.

Cały cykl leczenia trwa przez 3 miesiące. Oprócz grup terapeutycznych polecamy w miarę potrzeb rozmowy indywidualne, czytanie lektury specjalistycznej, pisanie prac terapeutycznych oraz zachęcamy do uczestniczenia w mityngach Anonimowych Alkoholików. Rodziny osób chorych na alkoholizm zachęcamy do uczestnictwa w grupie terapeutycznej przeznaczonej specjalnie dla nich. Aby one wiedziały coś o alkoholizmie: jak z tym żyć i co można w takiej sytuacji robić. I tu niesamowite odkrycie: ołóż łatwiej namówić alkoholika na

podjęcie leczenia niż jego żonę — znękaną przez życie — na próbę robienia czegoś ze sobą, na pracę dzięki której mogłaby żyć radośniej, szczęśliwiej. Jest to dla mnie przygnębiające doświadczenie.

Czy mamy sukcesy? Ponieważ alkoholizm jest chorobą nieuleczalną, a efekty naszej pracy mogą być mierzone długością abstynencji, która wcale nie jest równoznaczna z wyleczeniem — to ocena skuteczności może być podjęta za kilka lat. Byłaby mierzona ilością powstających grup Anonimowych Alkoholików, grup Al-Anon (dla rodzin), zaangażowaniem się większej liczby osób w ruch trzeźwościowy. Praca ta będzie mierzona mniejszą liczbą siniaków na ciele dzieci i żon, mniejszą liczbą dzieci z trudnościami szkolnymi i wychowawczymi, jękaniem czy moczeniem nocnym. Lekarze rejonowi będą mieli mniej pacjentów cierpiących na choroby krążenia, chorą wątrobę czy nerki. Mniej będzie wypadków czy nagłych zgonów. Tak na marginesie: w minionym roku w Karczewie miało miejsce 9 nagłych zgonów. W każdym przypadku przyczyną śmierci był alkohol. Na pewno nasza praca nie spowoduje zniknięcia meneli z ulic i spod płotów. Mam nadzieję, że tym problemem zajmie się w końcu policja, która dotychczas była szczelnie zamknięta w komisariacie. Pierwsza jaskółka już się pojawiła — po raz pierwszy od 4 lat widziałem w tym roku patrol policji na osiedlu Ługi.

Jerzy Jechalski - psycholog

Czy pomaganie alkoholikowi ma sens?

Pewien mężczyzna wyszedł na brzeg oceanu i zobaczył, że przypliwł wyrzucił na piasek tysiące meduz. W oddali dostrzegł starego człowieka, który podnosił meduzy i wrzucał je do wody. Podszedł do niego i zapytał: „Po co marnujesz czas? Jest ich tak wiele, że nawet jeśli uratujesz kilka, twój wysiłek nie ma żadnego znaczenia”. Stary człowiek wziął trzy meduzy i wrzucił je, jedna po drugiej, z powrotem do morza. „No coż — powiedział — te trzy dzisiaj nie umrą. Dla nich to ma znaczenie”.

Żegnaj wódko!

Kiedy chciałem Cię poznać, byłem jeszcze młodym chłopcem. Byłaś mi nieznana i niedostępna z różnych przyczyn moralnych i fizycznych. Ale, była też, wielka i nieograniczona chęć zawarcia znajomości. Był piękny, słoneczny dzień, dużo zainteresowań, lecz ty byłaś tak ponętna, a ta moja ciekawość wielka tak, że pierwszy raz wygrałaś. Czulem Ciebie w całym ciele, było miło i wesoło. Teraz byłaś tak wład-

cza, że to moje ukojenie i ciekawość znalazły się raptownie w innym świecie. Był to świat szybkich karuzel cyrkowych i świat ciszy. Twoja zachłanność i zaborczość przestraszyła mnie, a szczególnie Twój szaleńczy uścisk. Byłem młodym, niedoświadczonym chłopcem, zagubionym w tym Twoim dzikim świecie. Odsunąłem się na pewien okres stanowczo od Ciebie, aczkolwiek były chwile, że myślałem wracałem.

Pewnego dnia poczułem samotność, byłem zagubiony wśród swoich problemów życiowych i przypominałem sobie Ciebie ponętną, ciekawą i moje smutne oczy ożywiły mnie na tyle, że zacząłem się z Tobą spotykać częściej, mimo swojego małego doświadczenia. Były to okresy radości i miłej zabawy. Lecz wszystko co łatwo przychodzi, szybko się kończy. Pojawiły się pierwsze kłopoty, rozterki. Jak na początku dawałaś mi radość i siłę, tak teraz zaczynałem odczuwać słabość i żal. Miałem dużo pretensji do Twojej skuteczności i bezpieczeństwa. Próbowaliśmy na początku odtrącać Ciebie, za pomocą różnych presji, dobrych rad itd. Lecz Ty walczyłaś z całym światem, byłaś wszędzie obecna. Ulegałem Twoim zakusom i coraz częściej miałem przez Ciebie większe kłopoty. Zacząłem Cię straszyć na różne sposoby możliwe w moim rozumieniu. Pierwsze czary rzucane na Ciebie, były zadane przez Boga, lecz nie na długi okres działała ta siła. Zacząłem odtrącać Ciebie za pomocą chemii.

W pierwszych okresach poczułem ulgę i nawet chyba zapomniałem o Tobie. Przechodziłem obojętnie przyglądając się, jak ponętnie rzucasz urok, zachęcając mnie swoimi wdziękami na prawo i lewo. Aż przyszedł okres kiedy znów zacząłem umawiać się z Tobą. Początkowo potajemnie w różnych miejscach, czasami mniej, a czasami więcej atrakcyjnych. Były to spotkania coraz częstsze, coraz bardziej tragiczne dla mnie. Nie było dnia i godziny żebyś nie była ze mną. Spotkała mnie chyba najgorsza kara, byłem w jakimś dziwnym świecie. A świat ten był pełen obrzydzenia i strachu, a potem nastała cisza. Lecz cisza ta i spokój były pozorne. Ja myślałem, że jestem wyzwolony, ale zamiast Twoich błysków, były grubo kute pręty, które nie pozwalały na swobodne ruchy.

Miałem dużo czasu do myślenia, zostałem sam. Wydawało mi się, że jestem już uwolniony od Ciebie. Przyszły czasy, że poczułem się jak młody nieopierzony ptaszek i tu zaczęła się znów tragedia mojego życia. Zawładnęłaś mną z jeszcze większą siłą. Tak mnie opanowałaś, że przez długie miesiące różni ludzie przywracali mi zdrowie, zszarpane przez Twoje szpony. I stała się rzecz bardzo dziwna, moje usilne walki i szarpaniny z Tobą zostały pokonane — przerwane za pomocą jednego małego kroku. Znalazłem tak ważne dla mnie lekarstwo na Ciebie, pod postacią ruchu AA. Tak jak przed diabłem stawia się wodę święconą, tak ja przed Tobą starą i pomarszczoną, stałem znów młody i pełen nadziei z wielbłądem w klapie.

Refleksje po naszym „święcie”

Mój Dzień Kobiet

Pozwólcie, że rozpocznę fragmentem z EPOSU CEJLOŃSKIEGO

„O poranku świata Brahma stworzył mężczyznę,
A nie będąc zadowolony ze swego dzieła,
Zaprzagnął je poprawić.
I wtedy zaczął tworzyć drugą istotę ludzką — KOBIECĘ.
Wziął garść ziemi i nieco nieba, wziął gwałtowny wiatr
I trochę wody ze specjalnego strumienia.
Wziął owoc mango, melon, winne grono i figę.
Wziął serce jagnięcia, wdzięk dzikiego jelenia i gniew tygrysa.
Wszystkie te słodkie i szalone rzeczy zmieszał ze sobą,
Aby stworzyć swe drugie dzieło — KOBIECĘ.
I kiedy ta mozolna praca została wykończona
Brahma popatrzył na to co zrobił,
I na jego ustach pojawił się uśmiech.
Uśmiechał się, uśmiechał się...”

Kobieta: płeć słaba, piękna, uduchowiona, romantyczna. Dama, chłopczyca, kokietka, rozkapryszona dziewczynka, gosposia, naciągaczka, sierotka Marysia. Anielsko wyrozumiała — piekielna awanturka. Fascynująca w każdym ze swoich wcieleń. Wydająca ostatnie pieniądze na kapelusz (żeby tylko kapelusz) jakiego na pewno nie ma jej przyjaciółka. I wyruszająca z mężem na sybirską zsyłkę. Taki oto obraz kobiety kreśliłam sobie jadąc w tym roku rano 8 marca autobusem. A obok mnie spokojnie odbywała się wzruszająco-święteczna scenka.

On: chłopak w dresach i przyciemnionych okularach, żuje gumę, wyglądając przez okno.

Ona: odlotowe zielone buty na grubej podeszwie, reszta pokryta niezbyt dobranymi szmatkami, włosy idealnie zasłaniające twarz. żżyna matkę opierając zeszyty o szybę obok wzroku chłopaka.

On: wyciągając patyk z zakończeniem przypominającym nieźle pijanego tulipana, przez chwilę zapomina co chciał z nim zrobić. Przykleja się do szyby.

— Ty, popatrz. Ale towar...

Ona: nie spojrzawszy.

— Ehe.

On: kontynuując wlepianie oczu w blondynkę na chodniku Nowego Świata, gryza paznokcie.

— Masz.

Ona: chyba spojrzała (nie widać spod włosów), zdziwiona.

— Co to za wiecheć?

On: Oj, stara, wyluzuj, nic innego nie było.

Ona: Ehe.

Pisze dalej matkę. Tego nie można było przegapić. Przejechałam więc swój przystanek, potem następny. Wsiadłam na trzecim i energicznie pogalopowałam do szkoły myśląc: „Oj, nie! Ja chcę życzeń, kwiatów w apogeum swej świetności, adoracji, całego cyrku”. Z impetem pognałam od razu do stolika mojego kolegi zajętego skomplikowanymi obliczeniami i bardzo znacząco chrząknęłam. Spojrzał... i nic. Chrząknęłam jeszcze raz i przybrałam przyjemny wyraz twarzy. Podniosłam głowę i przyjrzałam mi się starannie.

— Dziwnie wyglądasz. Coś ci jest? — zmartwił się umiarkowanie.

— No wiesz... 8-my Marca.

— Aaa — odetchnął z ulgą — myślałem, że chodzi o to zadanie z konstrukcji.

Odczekałam chwilę, wyobrażając sobie to rzucanie się do kolan, zasypywanie różami i brylantami.

— No,... i co?

Skierował na mnie wzrok pt. „Jeszcze tu jesteś?” i powiedział:

— Nic. Ósmy marca to komunistyczne święto, chyba nie wyobrażasz sobie, że będę je obchodził.

— Ja chyba mam wybitnie wybujałą wyobraźnię — powiedziałam, możliwie godnie okrucieństwem się na pięcie. Odchodziłam, kiedy rzucił:

— Możesz się obrażać, ale wieczorem chodź ze mną do kina.

Czy mogłam odmówić?

Resztę dnia spędziłam obserwując układy męsko-damskie. Wszyscy zachowywali się tego dnia normalnie, to znaczy: absolutna wariacja pierwotnego. Zniecierli mężczyźni o przydługich paznokciach i kolczykach wszędzie, siadali na jedynym wolnym miejscu w autobusie i zadzierając głowy rozmawiali z towarzyszącymi im osobami płci żeńskiej. Kobiety przeklinały samochód, który im „właśnie dzisiaj zdechl” i wypuszczały z siebie kłęby dymu paląc „Marlboro” lub „Camele”. No dobrze.

Ja też jestem za równouprawnieniem, ale jak tak dalej pójdzie, to nie tylko Szkoeci będą chodzili w spódnicach, a kobiety zaczną się spełniać w zawodzie górnik, pod ziemią i na samym przodku. Tak więc dziewczyny z kwiatami stanowiły rodzaj rzadkiego zjawiska i wprawiały mnie w osłupienie: jak one to robią? Same sobie kupują, wydzierają siłą, chodzą w doniczkach i wyprowadzają na spacer?

Coraz mocniej marzyłam o czasach rycerzy, którzy dla swojej damy serca staczali niebezpieczne boje, tratowali smoki, rozpętywali wojny, „przenosili góry”, niwecząc zamierzenia natury. Przechodząc obok lustrzanej wystawy sklepowej spojrzałam na swoje odbicie. Jeansy, bawełniana koszula w burą kratę, sportowa kurtka, masywne męskie buty. Gdybym była chłopcem na pewno nie złożyłabym sobie życzeń z okazji Dnia Kobiet.

Kiedy wieczorem szykowałam się do kina, zupełnie niechcący ułożyłam sobie włosy, pomalowałam rzęsy, przypudrowałam nos, założyłam sukienkę, klipsy, płaszczyk. Potem potrenowałam przed lustrem kilka uśmiechów. Moja siostra stwierdziła, że wyglądam jakby mi coś zaszkodziło. Wysłałam o kilka minut za późno.

Męski przeciwnik świąt marcowych czekał na mnie mocno zniecierpliwiony. Spozstrzegł mnie i już otwierał usta, aby wypowiedzieć się na temat mojej punktualności, kiedy zmrużyłam lekko oczy, uśmiechnęłam się i powiedziałam ciepło:

— Dobry wieczór. Przepraszam, że musiałeś czekać.

Popatrzył na mnie jeszcze raz: — Nie szkodzi. Przepięknie wyglądasz.

Kiedy przechodziliśmy obok stoiska z kwiatami, kupił mi różę na ponad metrowej nóżce: Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Kobiet.

Tak oto podstępnie zorganizowałam sobie świąteczny wieczór pełen atrakcji i galanterii (w zdrowych proporcjach). Pławiłam się więc w szczęściu i satysfakcji, dumna z własnej przebiegłości. Wyrwał mnie z tego stwierdzeniem:

— Jeżeli sama będziesz pamiętała o tym, że jesteś kobietą, a nie wyk-

witem aktualnej „postępowej” mody na niejakość, inni też to zauważą...

Anna Olszewska



Szalony i cudowny

W Szkole Podstawowej nr 2 działa radiowęzeł, który prowadzi dzieci. Założono go półtora roku temu. Dziś pisze o nim uczennica tej szkoły — Urszula Frelek.

W naszej wspaniałej szkole wszystko jest wspaniałe, więc i radiowęzeł nie może być inny. Jego audycje poranne i popołudniowe, to chwile relaksu, to oderwanie się od zajęć lekcyjnych, to taka duchowa gimnastyka. I to jest właśnie cudowne. Ale — jak to w szkole — co za dużo to niezdrowo — sądzą niektórzy, dlatego audycje nadawane są tylko w poniedziałki, środy i piątki. Pozostałe dni w tygodniu są więc nudne i beznadziejne.

Radiowęzeł prowadzą same dziewczyny. Nie jest to jakaś dyskryminacja mężczyzn, nie pomija się ich problemów, ale sami pomyślcie — kto jest bardziej wszechstronny i obiektywny niż kobieta? W poniedziałki, w audycji prosto z gwiazd roztrzępana Aśka i wysportowana Monika wyczytują ze szklanej kuli naszą przyszłość, czyli podają horoskop na najbliższy tydzień. Tak naprawdę to zrzucają z gazet, ale nie wiadomo jakich, to tajemnica. Ważne, że horoskopy są udane.

We środy dwie discoshowmenki — Ada i Marta — wprowadzają nas w zachwycający i nudny zarazem świat poezji. Ale kiedy zaczynają losowanie? A takie: Ada i Marta losują szczęśliwe numerki. Osoby, które w dziennikach widnieją pod tymi numerami mogą sobie dać tego dnia luz. Są całkowicie bezpieczni, pod ochroną — nie mogą być pytani i nie mogą dostać lufy. Tę zasadę nauczyciele respektują i trzeba ich za to pochwalić, no nie?

W piątki dwie szalone Ulki dają nam zwiariowane rady, zupełnie odlotowe, aż dziw bierze skąd one biorą pomysły. A ponadto każdego dnia na zakończenie audycji, ku utrapieniu nauczycieli puszcza się kawałek dobrej odjazdowej, prawdziwie czarodziejki muzyki. Nie zapomina się o solenizantach, o jubilatach, o różnych uroczystościach. Całą zgrają bab — raptem sześcioma dziewczynami „redaktorkami” — opiekują się dwie facetki: panie Sakowska i Dyksińska. Nad sprawami technicznymi pieczę sprawuje pan Gajownik. Jest to więc babskie radio w koedukacyjnej szkole, ale facetom to wcale nie przeszkadza. Czyż nie jest cudowny ten nasz radiowęzeł? Drugiego takiego można by szukać ze świecą, a i tak by się nie znalazł! No to cześć. Lecę słuchać, bo zaraz nadają.

Ulka Frelek

Apel

Powoli, ale nieubłaganie zbliża się okres wakacyjnego wypoczynku, wyjazdów nad morze i w góry, upałów — podczas których lodu dodaje się nawet do mleka. Dla wielu z nas jest to jednak czas poszukiwania pracy, dzięki której będziemy mogli wyjechać pod koniec wakacji, lub kupić coś, na co teraz nie możemy sobie pozwolić. Szukanie pracy na miesiąc lub dwa nie jest sprawą łatwą. Nie każdy przecież ma znajomych mogących mu to załatwić czy odpowiednią ilość tupetu i szczęścia, aby poradzić sobie samemu.

Dlatego ucieszylibyśmy się, gdyby osoby mogące zapewnić młodym ludziom pracę w okresie wakacji przystali oferty do redakcji „Głosu Karczewa”. Wydrukujemy je.

POBÓR W REJONIE OTWOCKIM w 1995 r.

Zgodnie z zarządzeniem nr 4 Wojewody Warszawskiego z dnia 8 lutego 1995 r. tegoroczny pobór w rejonie otwockim zostanie przeprowadzony w dniach od 18 kwietnia do 06 czerwca. Obowiązki zgłoszenia do Rejonowej Komisji Poborowej i Rejonowej Komisji Lekarskiej podlegają mężczyźni zamieszkali stale lub przebywający czasowo ponad 2 miesiące na terenie gmin:

- Otwock
- Józefów,
- Karczew,
- Celestynów,

Wiązowna — urodzeni w 1976 r., urodzeni w latach: 1975, 1974, 1973, 1972 i 1971, którzy dotychczas nie stawili się do poboru oraz kobiety urodzone w latach: 1977, 1976, 1975, 1974, 1973, 1972 i 1971, które w roku szkolnym 1994/95 kończą naukę w średnich i pomaturalnych (policealnych) szkołach medycznych.

Rejonowa Komisja Poborowa będzie między innymi rozpatrywać wnioski poborowych, którzy:

- a) ubiegają się o odroczenie służby wojskowej ze względu na konieczność sprawowania bezpośredniej opieki nad członkiem rodziny lub prowadzenie gospodarstwa rolnego,
- b) wystąpili z wnioskiem o skierowanie ich do odbycia służby zastępczej.

Rejonowa Komisja Poborowa oraz Rejonowa Komisja Lekarska mają swoją siedzibę w Otwocku przy ul. Legionów 2 (budynek Wojskowej Komendy Uzupełnień).

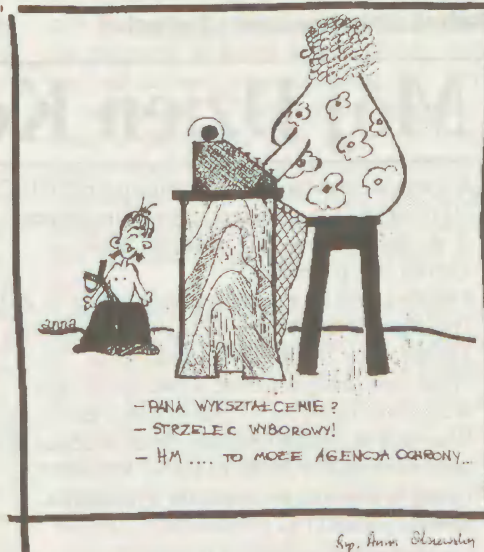
Komisje będą pracowały codziennie w godz. od 8³⁰ do 15⁰⁰, z wyłączeniem sobót i dni wolnych od pracy.

Osoby objęte poborem winne zgłosić się przed Komisję w następujących terminach:

- z gminy Otwock — 18.04. — 10.05.1995 r.
- z gminy Józefów — 11.05. — 15.05.1995 r.
- z gminy Karczew — 16.05. — 23.05.1995 r.
- z gminy Celestynów — 24.05. — 26.05.1995 r.
- z gminy Wiązowna — 29.05. — 30.05.1995 r.
- Kobiety 31.05. — 01.06.1995 r.

W dniu 2 czerwca Komisja będzie rozpatrywała wnioski w sprawie skierowania do służby zastępczej.

**Przewodniczącą
Rejonowej Komisji Poborowej
mgr inż. Edward Niedzielski**



Exp. Anni. Olszewski

Uwaga! Debiut!

Joanna Sylwia Kubiszewska urodziła się 3 maja 1983 r. Jest uczennicą klasy Vd w Szkole Podstawowej nr 2 w Karczewie. Sama o sobie mówi: „W wieku siedmiu lat poszłam do szkoły. Nauka idzie mi dobrze, choć nie wykorzystuję wszystkich swoich możliwości”. Jest bardzo uczuciowa, kocha i wielbi zwierzęta.

Ta jej wrażliwość na krzywdy innych sprawia, że lepiej od swoich rówieśników rozumie dobro i zło. I to właśnie wyraża w swoich wierszach.

Pierwszy napisała mając 10 lat. Jej rozważania nad sensem podstawowych uczuć człowieka stają się jednym z głównych tematów jej utworów. Talent przejęła po swojej babci, twierdzi, pani Władysławie Olejniczak, która jest popularną poetką. Mieszka w Hajnówce.

Utwory Joasi być może zachęcą innych młodych poetów do publikowania swych wierszy na naszych łamach.

Elżbieta Sakowska

Joanna Sylwia Kubiszewska

Opis naszej rodziny

Mama jest piękna
Jak czerwona dojrziała róża.
Tata jest prawdziwie męski,
Ale trochę nieodpowiedzialny, jak ja.
Siostra Agnieszka jest jak poranna zorza,
Kiedy się uśmiecha, to aż zatyka.
Ma włosy jak jedwab, różowe usta
I zielone oczy.
Już nawet chłopcy ją zaczepiają.
Ja zaś jestem śliczna i już w drugiej klasie
Miałam super chłopaka.

Vademecum maturzysty

Nerwowe oczekiwanie. Doby liczące 6 zamiast 24 godzin. Stosy książek, notatek, zeszytów: makulatury pracownice zebranej od przyjaciół, znajomych, kumpli, którzy są już PO! Stres wydający się wszystko tłumaczyć: zbiecie szklanki, stan ciągłej gotowości, wyrzucenie siostry z pokoju, cerę o fakturze papieru ściernego, kolor fiołków pod oczyma. Szczęśliwcy mający to już za sobą mówią: „Nie ma się czego bać”. A ty przypominasz sobie ich sprzed roku i pukasz palcem w czoło, rezygnując z kawiarni na rzecz oświecenia.

Czekasz na dni maturalne nie jak na sprawdzian dojrzałości, możliwości dokonania czegoś, ale jak na szansę zrzucenia jarzma. Powiedzmy, że dochodzi do tego zrobienie i obrona dyplomu a dodatkowo właśnie wczoraj widziałeś/łaś w Levis-ie kurtkę, którą musisz koniecznie mieć, ale jakoś brak funduszy. Depresja przedmaturalna gotowa, a tu jeszcze wypadałoby ostatecznie zdecydować, jak ma wyglądać całe twoje przyszłe życie. Krańcowo zrozpaczeni stajemy na rozstajach dróg oglądając wszystkie: kolorowe, czarno-białe, duże małe, krzykliwe i zupełnie wyciszone drogowskazki. Wybór jest duży — drogi maturzysto. Możesz: pracować, studiować dziennie lub zaocznie, uczyć się w studium policealnym, robić różnego rodzaju przydatne kursy (księgowość komputerowa, makler), rzucić się w wir przygód (obóz spadochroniarzski). Możesz również przez rok przygotowywać się do egzaminów na szczególnie oblegany kierunek studiów, wstąpić w korzystny związek małżeński, nie nie robić, wyemigrować.

W gorszej sytuacji są osobnicy płci męskiej, na których spoczywa jeszcze obowiązek przygotowania się do, ewentualnej, czynnej służby w obronie ojczyzny, czyli muszą przejść przez „wojsko”. Ale to też ostatnio zależy w dużym stopniu od ochoty delikwenta i inwencji twórczej zaprzyjaźnionego lekarza.

Wiele możliwości utrudnia wybór. Dlatego pozwolę sobie na kilka rad „Jak dojść do sensownego porozumienia z sobą samym?”.

1. Jeżeli wybrałeś pracę, to zastanów się czy aby na pewno nie chciałbyś jeszcze trochę powagować, pościagać na klasówkach, poprzebywać w towarzystwie rówieśników mających podobny do twojego światopogląd: „Wina i igrzysk”.

2. Studia są twoim zamierzeniem? Jedź na spotkanie dla kandydatów i dowiedz się jakie dokładnie wymagania są im stawiane. Jaki jest zakres nauczania i jakie umiejętności i uprawnienia będziesz posiadał po kilku latach nauki.

3. Studia zaoczne? Zastanów się czy nie wolałbyś spróbować zdawać na dzienne studia o tym samym profilu. Nauka zaoczna polega głównie na samodzielnej pracy z materiałem, jest dużym obciążeniem (również finansowym).

4. Planujesz studium policealne? Namów znajomą osobę, aby kupiła informator na bieżący rok i pożycz go na trzy dni. Nie na krócej. Nie wybieraj metodą eliminacji, bo odrzucisz wszystkie szkoły i nic ci nie zostanie. Pierwszego dnia dojdiesz do wniosku, że do niczego się nie nadajesz, ale nie przejmuj się. To naturalne. Drugiego dnia

odbijesz się od dna i na pewno wybierzesz kilka propozycji — realnych lub nie, ale co tam, na trzeci dzień z tego grona wyeliminujesz „pomyłki” zostawiając w ostateczności dwie, trzy szkoły. Wtedy zdobądź telefon i zadzwoni do każdej z nich, pytając o warunki przyjęcia, miesięczne odpłatności i nie zapomnij o wpisowym!

5. Jeżeli wybrałeś małżeństwo, to przeprowadź test:

a. Dziewczyna: postaw się przed wyborem — o bieranie ziemniaków, robienie na drutach czy wesołe miasteczko i dwa kucyki. Jeżeli wybrałaś ziemniaki — poszukaj kandydata (sposób poszukiwań przybliży innym razem), jeżeli wesołe miasteczko — poczekaj jeszcze kilka lat z tym ślubem. b. Chłopak: dokonaj wyboru — noszenie zakupów za panią z długimi paznokciami i przypalony obiad czy flirt z długonogą blondynką/szatynką/brunetką (niepotrzebne skreślić) i szarlotka u mamy. Wnioski analogiczne.

6. Niezależnie od tego co wybrałeś: - zastanów się jeszcze raz.

- porozmawiaj o tym z rodzicami: czy ich finanse pozwolą na utrzymanie cię przez kilka lat nauki, czy też woleliby cię mieć z głowy i pożyć teraz dla siebie,

- wybierz kilka dodatkowych zastępczych możliwości,

- pokombinuj zestawy (np.: studia zaoczne + praca, szkoła dwuletnia + przygotowanie się do egzaminów na studia, małżeństwo + nic nie robienie),

- zrób maturę, a po otrzymaniu świadectwa dojrzałości...

- zgłoś się natychmiast do urzędu pracy jako bezrobotny. Masz trzymiesięczne utrzymanie i ubezpieczenie zdrowotne. To zawsze coś. Powodzenia!

Uczniowie opanowali szkołę

23 lutego br. w Szkole Podstawowej nr 2 w Karczewie nie był normalnym dniem. Tego dnia obchodziliśmy święto wszystkich młodych ludzi, czyli Dzień Ucznia. Można się było wreszcie dobrze wypaść, bo obchody święta wyznaczono na pół godziny przed południem. Lekcji oczywiście nie było. Na każdego ucznia czekał świeży, pachnący pączek, bo to był jednocześnie „tłusty czwartek”, oraz mnóstwo emocji.

Kto kogo

Zaczęło się od zawodów sportowych. Starły się drużyny uczniów i nauczycieli. Z tego starcia zwycięsko wyszła młodzież. Wynik 21:14 mówi sam za siebie. Ale było na co popatrzeć, gdyż konkurencje były wymyślne: rzucanie piłką tenisową do kosza na śmieci trzymanego przez ucznia na głowie, kręcenie biodrami, aby utrzymać hula-hop czy trącanie rzutkami do tarczy. Kiedy walczone o to, kto najwolniej pokona odpowiedni odcinek trasy rowerem — zapadła cisza grobowa, kiedy wrzucano koledze z zespołu piłeczkę pingpongową za odchylone spodnie — rozlegały się huragany śmiechu. Kogo zawody nie interesowały, mógł skupić wzrok na sześciu seksownych dziewczynach, które w kuszych spódniczkach dopingowały zawodników.

Śpiewać każdy może

Dzieci na widowni, nauczyciele na scenie. Zaczyna się mini lista przebojów. Pani Iwonka (świełtlichanka) jako „córka rybaka” ma tremę i boi się reakcji publiczności. Być wygwizdaną i to na

początku kariery, to żaden luksus. Ale poszło dobrze, były oklaski. Z kolei zespół robiący „Abbę” miał luz profesjonalistów. Pani Osiał też „liczyła” na gwizdy i trzeba było persfajzi, aby wyszła na scenę. Każdy nauczyciel myślał, że po nas można spodziewać się wszystkiego najgorszego, a przecież uczeń też człowiek i zachować się potrafi. Jak chce.

Sztzywniaki na luzie

Miał rację pan Komorowski, że „cała ta impreza miała kompletnie zaskoczyć uczniów”. I to zaskoczenie się udało. Nikt się nie spodziewał, że te osoby — na co dzień sztywne i poważne — potrafią się tak doskonale bawić i wyluzować. Kosztowało to ich sporo nerwów. Podobno nauczycielki mające występować od rana chodziły „zielone ze strachu” i piły kawę za kawą, aby wysokim ciśnieniem dodać sobie animuszu. To miłe, że nauczycielom zależało na tym, aby dobrze wypaść w oczach uczniów. Świadczy to o tym, że się z nami liczą. Jednak!

Świetną zabawą były „Rebusy” — żywcem ściągnięte z tv — które ze znawstwem poprowadziła plastyczka, p. Barszczewska. Główny organizator Dnia — pani Gołębiowska powiedziała: „Okazywałam wszystkim luz, ale w głębi duszy obawiałam się tej imprezy, przede wszystkim reakcji młodzieży. Mieliśmy masę prób, wiele przygotowań. Zawody z uczniami potraktowaliśmy jako zabawę, oczywiście chcieliśmy wygrać, ale nie przejeżdżaliśmy się porażką”.

Było dobrze

Zarówno nauczycielom jak i uczniom ten dzień się podobał. Po pierwsze urwały się lekcje, po drugie było naprawdę sympatycznie. Jediną wadą tej imprezy było to, że było ciasno, nie każdy mógł wszystko dokładnie widzieć. Naszej szkole niezbędna jest duża sala gimnastyczno-widowiskowa. A tak w ogóle to Dzień chyba zintegrował uczniów z nauczycielami. Jesteśmy teraz dla siebie bardziej bliscy i mniej groźni. To święto stało się pewnie tradycją „dwójki”. I bardzo dobrze.

Urszula Stanisławska

Uwaga! Śródtytuły pochodzą od redakcji.



KOLOROWE PRANIE, SŁODKIE
BARANKA.
PACOSI, SPOKON, WENETRZNEGO
WYCIELENIA,
I TYLE ŚWIĄTECZNYCH DNI
SPĘDZANYCH
Z RODZINĄ.

Ostatni rozdział

Wawrzyniec Szmit jest rolnikiem. Przez dwadzieścia lat był członkiem Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Karczewie. Rok temu wybrano go przewodniczącym rady nadzorczej. Kilka tygodni temu zrzekł się tej funkcji. Nie chce mówić o spółdzielni.

— To już zamknięty rozdział — uważa. — Tej spółdzielni praktycznie nie ma, majątek został rozprzedany i zmarnowany. Nie mogłem temu zapobiec, a nie chciałem firmować polityki zarządu. Woląłem odejść.

— Dlaczego?

— Długo by o tym gadać — rzuca.

— To pogadajmy, ja mam czas, nie musimy się spieszyć. Nikt z władz OSM nie chce z „Głosem” rozmawiać, nie znamy argumentów drugiej strony, wiemy tylko to, co mówią związkowcy.

Pan Wawrzyniec patrzy na mnie długo niebieskimi smutnymi oczami i wreszcie, potakując sobie głową, mówi: dobrze i pozwala mi włączyć magnetofon. To co teraz napiszę, będzie zbeletryzowaną formą naszej rozmowy.

Współpraca Szmita z zarządem nie układała się już od początku. — Wyczuwałem, że nie jestem informowany, że zarząd wiele spraw przede mną ukrywa. Albo informuje nas o sprawach w ostatniej chwili, kiedy już nie da się odwrócić. Byliśmy stawiani pod ścianą. Potrzebni byliśmy do akceptacji tego, co wymyślił zarząd. Mówi pan, że mogliśmy nie akceptować, nie zgadzać się. Ale jak, skoro większość była za zarządem, a ja miałem za sobą mniejszość.

Posiedzenia wyglądały tak: pani prezes mówiła: musicie zgodzić się na ograniczenie produkcji... bo spółdzielnia padnie, musicie zgodzić się na wydzierżawienie pomieszczeń, bo spółdzielnia padnie, musicie zgodzić się na zaprzestanie produkcji, bo spółdzielnia padnie. A jak się zgodzicie to przyjdzie ten, przyjdzie tamten, mleko kupi, nie będziecie stratni. Kto siedzi w radzie nadzorczej — rolnicy, ludzie prości, producenci mleka. To co dla nich najważniejsze — miejsca pracy dla mieszkańców Karczewa i gminy czy zbyt na mleko? Spółdzielnia to dla nich to samo co punkt skupu tego białego płynu. Co się z nim dalej dzieje, jak ono jest przerabiane, to przecież nie istotne.

Co tydzień składano radzie nowe propo-

zycje wydzierżawiania spółdzielczych obiektów. Jeszcze została hala produkcyjna. Ale i na nią przyszedł czas. — Trzeba ją natychmiast wynająć Włochom — usłyszeliśmy, mówi pan Wawrzyniec. Ci Włosi, to spotka z o.o. Polish Cheese Company Import - Export z Baniochy. Próbowałem skontaktować się z jej dyrektorem panią Katarzyną Blaszką, ale tylko nagrywałem się na automatyczną sekretarkę.

Upadek spółdzielni zaczął się w 1989 r., kiedy w ciągu jednej nocy zmienił się ustrój. Zarząd spółdzielni nie potrafił znaleźć się w warunkach wolnego rynku. Coraz mniej było chętnych na zwykłe mleko, rozpadający się twaróg i wątpliwej jakości serki smakowe. Zarząd zamiast myśleć o rozwoju produkcji, o jakimś strategicznym inwestorze, zaczął ograniczać asortyment wyrobów i wpuszczał obce firmy. A przecież ta spółdzielnia leżąca w samym środku centrum owocowo-warzywnego mogła wystartować z nowymi produktami, które dzisiaj cieszą się takim powodzeniem: jogurtami z owocami i ziarnem zbożowym, kremami owocowymi, serkami homogenizowanymi z dodatkiem owoców i warzyw...

— Stało się inaczej. Do naszych wyrobów zaczął mieć zastrzeżenia Sanepid. To był pierwszy sygnał, że się źle dzieje. Mówiłem o potrzebie zmian, ale to był głos wołającego na puszczy. Niekompetencja zarządu i większości członków rady doprowadziła do upadku. Tą spółdzielnią od 1992 r. zaczęli rządzić „niefachowcy”. Fachowców — Henryka Szymańskiego i Marię Walenta odstawiono na bok.

W 1994 r. wybrano nową radę, której szefem został Szmit. On i kilku nowych członków chcieli poznać spółdzielnię. Spot-

kali się z zarządem i zaczęli pytać o strategię, o zadłużenie, o program na najbliższe dni. Plotki mówiły o kolosalnym zadłużeniu spółdzielni wobec Olsena, producenta „Masmixu”. Dowiedzieli się z ust pani prezes, że pożyczyła od Olsena 50 tys. dolarów.

— Poprosiłem o dokumenty tej transakcji — mówi pan Wawrzyniec. — Potraktowano mnie „per nogą”. Zacząłem być podejrzany. Sam też zacząłem podejrzewać, że od początku celem tego zarządu jest umyślne doprowadzenie spółdzielni do upadku. Teraz jestem tego pewien. Jedno zwolnienie grupowe, został zarząd i kilku maruderów. Będą likwidatorami.

Slucham tego i nie mogę pojąć jaką rolę w takiej spółdzielni pełni rada nadzorcza, jaka jest pozycja przewodniczącego, skoro zarząd może się z nim absolutnie nie liczyć. Dlaczego swymi podejrzeniami Szmit nie podzielił się z prokuratorem? Celowe bankructwo jest przestępstwem.

— Było takie wystąpienie, prosiliśmy aby prokuratura otwocka wszczęła śledztwo. Wniosek wystawiła jeszcze rada poprzedniej kadencji. Dokładnie 21 stycznia 1994 r. Prokuratura do tej pory nie udzieliła odpowiedzi i pewnie nie ruszyła palcem w tej sprawie. Większe afery miały miejsce w Polsce, na



które prokuratorzy nawet nie spojrzeli, to trudno się dziwić.

— Wielokrotnie próbowałem doprowadzić do oceny pracy zarządu przez radę. Nie udało się. Ostatni raz spróbowałem 14 lutego br. bez powodzenia. Złożyłem więc odpowiednie oświadczenie i wypunktowałem co przyczyniło się do rezygnacji.

W grudniu ub.r. powstały straty w produkcji na około 50 mln zł. Nikt o tym rady nie poinformował, dowiedziałem się od osób trzecich. Potem ktoś ukradł samochód spółdzielczy. Kiedy zapytałem wiceprezesa Andrzeja Maćkowiaka czy to prawda? Odpowiedział: nie wiem, niech pan zapyta kierowcy, kierownika transportu, albo pani prezes. Na ostatnich kilku posiedzeniach członek prezydium Domański opluwał mnie, mówiąc wulgarnie, że jeżdżę do chłopów, słucham ich bredni, trzymam z takimi ludźmi jak Niemiec czy Grzanka, czym szkodzę zarządowi i spółdzielni. Bo przecież zarząd OSM ratuje przed upadkiem. Ostatnio pan Maćkowiak stwierdził, że sabotuję ich wysiłki bo żądam, aby decyzje o wydzierżawieniu pomieszczeń czy wyprzedaży sprzętu były podejmowane uchwałą rady. Zrezygnowałem, bo nie chcę zasiąść na ławie oskarżonych. Zarząd łamie prawo i wierzę, że poniesie za to karę.

Nowy przewodniczący „Solidarności” w OSM mówi mi już w marcu, że związek nie wyraził zgody na kolejne zwolnienie grupowe, a mimo to do zwolnienia doszło. Znow poszły odwołania do sądu pracy, znow będą wyroki na korzyść zwolnionych, a OSM będzie musiała zapłacić odszkodowania. Członkowie Komisji Zakładowej „S” tym razem zostali potraktowani ulgowo. Dano im tzw. zwolnienie zmieniające, czyli wypowiadając pracę dano jedno-

ześnie propozycję zatrudnienia na innym stanowisku. Ekonomistka Bożena Niemiec i główny mechanik Tomasz Grzanka mogą zostać jako pracownicy fizyczni. Ale nie chcą. Założyli sprawę. Podobnie jak inni: Anna Dadas, Anna Olszewska itd. Czyli dokoła Wojtek. Ciekawe ile razy może się

historia powtarzać. Zdaniem Tomasza Grzanki do OSM musi wstąpić NIK. „S” wystąpi z takim wnioskiem, wniesie również skargę do województwa na prokuraturę rejonową w Otwocku...

Zbigniew Skoczek

Sklep wzorcowy

„Okno na świat” zaprasza i proponuje:

- nowoczesny wystrój okien
 - verticale
 - rolety
 - oryginalne upięcia firan i zasłon
- Otwock osiedle Batorego 34

(obok sklepu firmowego karczewskich Zakładów Mięsnych).

Sklep czynny
od pon. do piątku w godz. 10 — 18,
w soboty od 10 do 13.

*Uczestnicy balu zorganizowanego przez Urząd dla pracowników, działaczy i przyjaciół — kończącego tegoroczny karnawał, składają tą drogą serdeczne podziękowanie wszystkim, którzy przyczynili się do tej wyśmienitej zabawy, a szczególnie pani Aldonie Trzaskowskiej, która — jak wiemy — była motorem wszelkich poczynań. No to do przyszłego karnawału
Bałowicze.*



USŁUGI POGRZEBOWE CAŁODOBOWE

Proponujemy pełen zakres usług zapewniając wysoki standard i godne warunki ostatniej posługi:

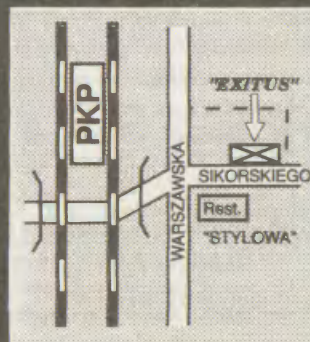
- odbiór zwłok z domu i ich przechowywanie
- organizacja pogrzebu
- bezprocentowe kredyty
- przewóz osób autokarem
- transport zwłok (karawany pogrzebowe) na cały kraj

W ciągłej sprzedaży:

- trumny w zróżnicowanej cenie
- krzyże
- tablice nagrobkowe
- wieńce, wiązanki, szarfy, nekrologi

Kredytowanie kosztów pogrzebu w ramach zasiłku ZUS.

- 05-400 OTWOCK, ul. Sikorskiego 1, tel./fax 779 23 39
- 05-400 OTWOCK, ul. Batorego 44, tel. 779 50 41 w. 24, Prosektorium



Na potwierdzenie, że pan Zygmunt Karczemny był organizatorem i pierwszym, ale niestety i ostatnim dyrektorem szkoły zawodowej w Karczewie, co podała p. Wanda Braunert w nr. 2 „Głosu Karczewa” za miesiąc luty 95 r., w uzasadnieniu pozwolę sobie przywieść na pamięć okoliczności organizacji i zakończenia działalności tej placówki.

W pierwszych latach po drugiej wojnie światowej w Karczewie powstała grupa działaczy organizująca nowe życie w mieście. Wśród nich był p. Daniel Żelazko. On wynalazł i za niewielkie pieniądze zakupił dla miasta opuszczone baraki poniemieckie, które w częściach przywieziono do Karczewa i złożono pod gołym niebem. Przeleżały tak blisko dwa lata. To spowodowało

dwuletnich absolwentów szkoły w Karczewie i szkół okolicznych wsi jako argument co z tą młodością robić, ponadto mając lokal spełniający warunki otwarcia szkoły, pojechała delegacja do kuratorium w Warszawie z wnioskiem otwarcia zawodowej szkoły w Karczewie. Kurator nie był zachwycony naszą propozycją, ale powiedział, że rozpatrzy naszą sprawę. W tym czasie propaganda głosiła, że szkolnictwo przed wojną było zaniedbane, szerzył się analfabetyzm więc rozwój oświaty przez budownictwo szkół był bardzo rozpowszechniany. W czasie drugiego pobytu naszej delegacji w Kuratorium obiecano nam, że kurator przyjedzie do Karczewa i na miejscu zorientuje się o możliwości otwarcia szkoły zawodowej. W międzyczasie odbudowane baraki

kuchienka na której gotował sobie śniadania i kolacje. Obiady jak mówił jadł na mieście. Po zagospodarowaniu się w pokoju i zameldowaniu w Urzędzie, często wyjeżdżał do Warszawy w sprawach organizacyjnych. Ja się nie pytałem, on mi się nie chwalił jak postępowała organizacja nauczania w tej szkole. Z dniem 1 września nauka w barakach ruszyła. Były tam dwa działy — dla dziewcząt nauka kroju i szycia, tkactwo; dla chłopców — ślusarstwo i mechanika. Będąc tam w czasie nauki widziałem kilka maszyn do szycia, stoły do kroju i kilkanaście dziewcząt. W drugim baraku kilku chłopców przy imadle pilnujących pilnikiem.

Pod koniec roku szkolnego pan dyrektor przeprosił moją żonę i mnie za nieprzyjemne zajś-

MÓJ OJCIEC BYŁ DYREKTOREM

wśród mieszkańców dość poważną krytykę, a to że rzuca się pieniądze w błoto, że ktoś na tym zarobił, bo po co miastu te baraki, które już są na wpół zgniłe. Grożono nawet prokuratorem. W takiej sytuacji trzeba było przyspieszyć baraki zestawić.

W tym też czasie kiedy już przebrzmiały echa „nie matura lecz chęć szczerą”, kiedy powstało ministerstwo walki z analfabetyzmem, szczególnie wśród młodzieży zrodził się pęd do nauki. Nasza młodzież karczeńska, po skończeniu szkoły podstawowej wychodziła na ulicę rozglądając się bezradnie, co ze sobą dalej robić. Ani w Karczewie, ani wokół miasta poza gimnazjum w Otwocku nie było szkoły ponadpodstawowej. Ani też tradycja Karczewa to jest rzemysłowość i handel, na razie w nowej rzeczywistości nie mogła się znaleźć.

W takiej sytuacji wśród tej grupy działaczy powstała myśl przy konieczności obudowy baraków, zorganizować i w tych barakach póki co zlokalizować szkołę zawodową. Dla wykonania tego przedsięwzięcia powstał Społeczny Komitet, w którym ja byłem skarbnikiem. Została opracowana deklaracja, z którą członkowie Komitetu obeszli domostwa mieszkańców, którzy podpisując deklarację, zobowiązywali się do płacenia zadeklarowanych składek na odbudowę baraków. Ze względu na sytuację młodzieży i zapowiedzi otwarcia zawodowej szkoły, ludzie na ogół dość chętnie deklarowali jednorazowe czy też miesięczne składki. Jako skarbnik każdego miesiąca obchodziłem deklarantów i zbierałem zadeklarowane kwoty. Z tymi deklaracjami było różnie. Jedni zgodnie z podpisaną deklaracją dawali pieniądze, u innych kończyło się tylko na podpisaniu deklaracji. Ale pieniądze przybywały. Jednocześnie przystąpiono do zestawienia baraków. Majstrowie z dużym powątpiewaniem przystąpili do odbudowy tych baraków, bo to bardzo zniszczone i właściwie czy to warto odbudowywać. Ale jak się zaczęło, trzeba było kończyć. Części bardzo stare zastąpiono nowymi materiałami i w rok czasu baraki stanęły.

Trzeba było zacząć starania o zorganizowanie zawodowej szkoły. Komitet sporządził spis

zostały otynkowane, pomalowane, teren wokół posprzątnięty, wszystko przygotowane na wizytację kuratora. Na spotkanie w określonym terminie zebrała się grupa mieszkańców miasta. Kurator po dokładnym zlustrowaniu budynku i terenu, po przedłożeniu naszych argumentów i przeprowadzonej dyskusji powiedział, że nawet gdyby w tym lokalu otworzyć szkołę to już trzeba myśleć o budowie budynku szkolnego, bo te baraki długo nie posłużą, zaś budowa nowego budynku, to już sprawa nie taka prosta. Po zgłoszeniu dalszych argumentacji tak z jednej jak i z drugiej strony kurator powiedział: „dobrze będzie szkoła ale pod warunkiem, że znajdzie się mieszkanie dla dyrektora szkoły. Niewiele się namyslał, powiedziałem — mieszkanie jest. Gdzie? U mnie. W takim razie słowo się rzekło — powiedział kurator — otwieramy zawodową szkołę w Karczewie. Kurator wziął mój adres i odjechał. Miał to miejsce późną wiosną 1948 r.

W kilka dni potem do drzwi mojego mieszkania zapukało dwóch panów, jeden z walizką. Pan Wojciechowski? Tak, i poprosiłem do wejścia. Pan bez walizki wskazując na z nim przybyłego — To jest pan Karczemny — dyrektor zawodowej szkoły w Karczewie, który zgodnie z pana przyrzeczeniem ma tu zamieszkać. Żona na mnie spojrzała, chociaż była o tym uprzedzona, zresztą już była przywykła do moich podobnych wyskoków. Po przywitaniu i prezentacji, zaprowadziłem pana dyrektora do pokoju, w którym zamieszkał. Pan Karczemny przy reprezentacji zrobił dość przyjemne wrażenie, ale wydał się jakby zamknięty sam w sobie. Był to człowiek matego wzrostu, bardzo szczupły, drobnej budowy ciała. Twarz miał szczupłą z dość dużym nosem, usta wąskie, czarne biegające oczy i wystającą brodę. Na głowie tysina, z kępką włosów nad czołem. Ubrany był bardzo schludnie. Miał na sobie trzy-czwarte jasny płaszcz wełniany, na głowie kapelusz stosownie do twarzy ściśnięty u góry.

Pokój w którym zamieszkał był dość duży. Było tam łóżko, stół, krzesła i szafa ubraniowa oraz

cie jakie miało miejsce, podziękował za mieszkanie i wyprowadził się. Do szkoły dojeżdżał z Warszawy. Całe wakacje nie pokazywał się w Karczewie. Jednak drugi rok nauki się rozpoczął, ale ilość uczniów się zmniejszyła. Pan dyrektor, który był jednocześnie wykładowcą coraz częściej się spóźniał i nauka w szkole zaczęła się rwać. Trzeciego roku w Zawodowej Szkole w Karczewie nauczania już nie było. Tymczasem w drugim roku istnienia szkoły, przyszło zawiadomienie z kuratorium, że będzie budowana zawodowa szkoła w Karczewie z siedzibą w Otwocku. Rzeczywiście niebawem zaczęto budowę budynku szkolnego w Otwocku. W wykończonym budynku w Otwocku powstało technikum nukleogigieniczne, ale w sztyldzie już bez Karczewa. Zawodowa szkoła w Karczewie zmarła śmiercią naturalną. Moim zdaniem przyczyną tego były piętrzące się trudności w wyposażeniu szkoły w atrybuty potrzebne do nauczania. Brak było zrozumienia i wsparcia społeczeństwa, które nie doceniało istnienia takiej szkoły dla rozwoju miasta i zaspokojenia potrzeb młodzieży, jak też brak zainteresowania ówczesnych władz lokalnych. Temu wszystkiemu nie poddał pan dyrektor.

Po opuszczeniu przez szkołę, baraki przejął powiat w Otwocku. Obmurował je, co przedłużyło ich żywotność. Po likwidacji powiatów barki przejął Zarząd Miasta Karczewa, gdzie zlokalizowano Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury.

Zaś mój dom po wyprowadzeniu i wymeldowaniu się p. dyrektora przejął kwaterunek i wprowadził rodzinę z dwójkiem dzieci. Kilka lat walczyłem o wyłączenie mojego domu spod kwaterunku, gdyż wymiary tego domu nie podlegały kwaterunkowi. Aż trzy komisje zjeżdżały, żeby stwierdzić, że zgodnie z przepisami dom ten nie podlega kwaterunkowi. Po wyprowadzeniu się tej rodziny cały dom został zdezyfikowany. To było zapłatą za bezinteresowne oddanie mieszkania dla dobra społeczeństwa.

 Bethoven był do tego stopnia głuchy, że
 całe życie przypuszczał, iż maluje.
 (Cavana)

 W operze wiedeńskiej w łoży siedzą baron
 Mucki i brabia Bobby. Obserwują sąsied-
 nie łoża przez lornetki. Naraz brabia lekko
 trąca barona:
 — Popatrz, tam w łoży naprzeciwko siedzi
 brabina Esterbazy.
 — Cóż ty opowiadasz — mówi baron —
 brabina Esterbazy już dawno umarła.
 — Ach tak, nie wiedziałem, ale spójrz... o-
 na się jeszcze rusza!

 Francuz upadł do rzeki Isary w Mona-
 chium i krzyczy:
 — Au secours! au secours! (czyli: na po-
 moc!)
 Monachijczyk stojący na moście patrzy na
 tonącego i mruczy pod nosem:
 — Jakiś dureń. Zamiast uczyć się francus-
 kiego mógł się nauczyć pływać.

 Dlaczego słoń ma ogon?
 Żeby się nagle nie kończył.

 Człowiek telefonuje do schroniska dla psów.
 — Hau — odzywa się w słuchawce.
 Człowiek zdziwiony pyta:
 — Kto tam, nic nie rozumiem.
 — Hau, hau, hau — szczeka pies do słu-
 chawki.
 — Przepraszam, ale ja nadal nic nie ro-
 zumiem — woła człowiek.
 — To ja przeliteruję — odzywa się pies —
 H jak Hanna, a jak Adam, u jak Urszu-
 la.

 Kelner w kawiarni przyjmuje zamówienie.
 — Proszę małą czarną!
 — Dla mnie herbata!
 — Jakiś sok proszę.
 — A ja obojętnie co, aby w czystej filiżan-
 ce.
 Za chwilę kelner wraca z napojami i pyta:
 — Kto prosił w czystej filiżance?

Humor z zeszytów

Niektórzy Murzyni jeszcze chodzą ubrani
 nago.

Nad brzegiem stawu siedziała Krysia
 i doila krowę. W stawie odbijało się to od-
 wrotnie.

Pory roku można tak porównać. Wiosna
 jest łagodna, lato jest bardziej łagodne.

Król mógł się uratować, ale leżało to
 w rękach konia.

Odziedziczył po matce poważną chorobę
 płuc, którą bardzo kochał.

Skowronek wylatuje na wiosnę w niebo
 wspólnie z oraczem albo traktorem.

Dzieci karmione rozwijają się lepiej niż
 dzieci z butelki.

Obserwując żabę z tyłu, od ogona, zau-
 ważymy, że żadnego ogona nie ma.

Nasza krowa nazywa się Zośka, ale nikogo
 przez to nie obrażamy.

Krowa nie je dużo, ale to co zje, przeżuwa
 dwa razy i dlatego ma tego jedzenia do-
 sć.

Pasteur był wielkim uczonym, który wy-
 myślił ospę, wściekliznę i wiele innych
 groźnych chorób.

Metr jest wzorcem wykonanym z platyny,
 który ma temperaturę zero stopni i położo-
 ny jest na poziomie morza.

Z „Księgi nonsensu”

Krzesło

Siadłem na krześle od niechcenia,
 Wiedząc, że krzesłu brak siedzenia.
 Nóg i oparcia też nie było,
 Ale siedziało się dość miło.

Dumny ojciec

Mój synek ma ogromne poczucie humoru,
 Żarty stroi od rana do późnego wieczoru.
 Raz na ulicy na przykład, pamiętam,
 Jakiś pan go zapytał, jak trafić na cmen-
 tarz.
 I wiecie, co zrobił mój miły łobuz?—
 Pchnął go pod przejeżdżający autobus.

Z „Arki Noego” Horacego Safrina

Troskliwość matczyna

Jalówka cnotę straciła dziewczę.
 „Jak się czujesz?” — spytała krowia mama.
 „Byczo!”

Ucieczka niedźwiedzia

Niedźwiedź uciekł raz z cyrku i zmylił po-
 gone.
 Potem, tydzień spędziwszy przy kłótlivej
 żonie
 wrócił, namiot odszukał w sąsiedniej
 mieścinie
 i już w klatce, serdecznie witał pogromczy-
 nię...
 A stąd morał wynika, no i prawda szczerza,
 że niedźwiedź z dwójga złego mniejsze zło
 wybiera.

Żółw i biurokracja

Stary żółw do pośpiechu bynajmniej nie
 skory,
 wrócił do miasta, ziewając, do rodzinnej
 nory.
 A ciekawość małżonki swej mając na
 względzie,
 oświadczył: „Pracowałem pół roku
 w urzędzie.
 No i zwałem, kochanie, choć za pasem zi-
 ma,
 bo i któż takie tempo ślimacze wytrzyma?”

Genialny pudel

Ludzie o nim mówili: „Mądry nieskończe-
 nie!”
 Od narodzin uchodził za „cudowne szcze-
 nie”.
 Służył i aportował szczekając wesoło,
 umiał tańczyć i skakać przez płonące
 koło.
 Aż pewnego dnia rankiem, tak jak każdy
 młody,
 po raz pierwszy zapragnął miłosnej przy-
 gody.
 Wybiegł z domu, lecz zanim minął jego
 mury,
 odczuł w pełni następstwa codziennej tre-
 sury.
 On, co poznał wszelakich psich sztuczek
 arkana,
 Nie mógł nigdzie wyruszyć — bez rozkazu
 pana.

Nieprzekupny monarcha

Kiedy leśny parlament zebrał się na nowo,
 lew odczytał na wstępie swą mowę tro-
 nową:
 „Ja królestwem zwierzęcym rządząc con a-
 more,
 nie słowa sobie cenię, lecz dobre uczynki.
 Więc oznajmiam wszem wobec: łapówek
 nie biorę,
 przyjmuję co najwyżej drobne upomin-
 ki...”
 „Jakie?” — ktoś się monarchę zagadnąc
 odważa.
 „O to już nadwornego spytajcie kucha-
 rza!”

W zagajniku

Spytał filozof: „Dlaczego, kukulko,
 te same słowa wciąż powtarzasz w kółko?”
 A ta mu na to odpowie: „Głuptasie!
 Przecież tu wszyscy mają mózgi ptasie!”

O ślepocie

Pewnego razu, nie wiedzieć dlaczego,
 kret nominację dostał na sędziego.
 Fakt ten wywołał wśród zwierząt sensację.
 Kret — jakież może mieć kwalifikacje?!
 A władca odrzekł, racji swej świadomy:
 „Temida ślepa i on niewidomy”.

Wybrał: Zbigniew D. Skoczek

ZSZ doczekał się pierwszej klasy maturalnej, a więc pierwszej prawdziwej studniówki.
Fotoreportaż z tego balu wewnątrz numeru.

